6

MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY
KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XI. Nr. 7. WARSZAWA, 8 LUTEGO 1931 R. CENA NUMERU 80 GR.

UPRYWATNIENIE PAŃSTWA

Ani narody kulturalne, które nas lekceważą i ośmieszają, ani my sami, którzy patrząc na obecny rozstrój życia państwowego, dochodzimy do rozpaczy, nie możemy zrozumieć tego faktu w ramach teraźniejszości. Bo jakże to pojąć, że naród zdrowy, płodny, w siły fizyczne ogromnie zasobny, w wierzchnich warstwach oświecony, przez półtora wieku opierający się zwycięsko najokrutniejszym uciskom niewoli i czyniący religję ze swego pragnienia niepodległości, odzyskawszy ją, nagle wpada w otchłań zamętu, walk i wichrzeń wewnętrznych, rosnącego nieładu. Gdybyśmy wskrzesili marzycieli o „wielkiej i dostojnej Polsce", o „królowej świata", o „świętej męczennicy", która zmartwychwstanie z koroną na głowie, której „złożą hołd czci wszystkie ludy" i gdybyśmy im pokazali ją w obecnej postaci, zapytaliby nas zdumieni, co się stało, że ona tak wygląda i tak żyje? Nie uspokoiłaby ich nasza odpowiedź, że czereda ludzi samolubnych, złych, zwyrodniałych, wichrzy, znieprawia i popełnia gwałty, bo przecie dwadzieścia kilka miljonów obywateli posiada dostateczną siłę do okiełzania takiej gromady i opanowania swoją wolą życia narodu. Więc przyczyna niedoli musi tkwić głębiej.

Przez dwa wieki brzmiało w naszej przeszłości potworne hasło: „Polska stoi nierządem", które, zdawało się, podczas niewoli zamilkło, przeklęte i zapomniane. Upewniała nas o tem opowiadająca jego skutki historja. Ale historja, nawet dbała o najwiarogodniejsze źródła i wiążąca wypadki z najkrytyczniejszą sumiennością, zbiera je tylko w sferach wyższych, publicznych, nie zapuszczając się we wnętrze narodu, gdzie spoczywają czynniki utajone i niewidoczne, które jednak mają wpływ rozstrzygający na istotę i kierunek jego życia. Stąd też opowieści dziejopisarskie są zawsze widokami, zdjętemi „z lotu ptaka", obrazami malowanemi z aeroplanu. Widzą tylko góry, nie widzą dolin, stanowiących główny obszar i kształty rzeczywistości.

Ażeby przypatrzeć się tym dolinom, trzeba zejść z wyżyn historji do nizin pamiętników. Tam dopiero zobaczymy prawdę życia, tam znajdziemy wyjaśnienie czynów i zdarzeń, które się spełniają na wierzchu społeczeństwa, a które są dla nas często zagadkowe lub całkiem niezrozumiałe.

Nasza literatura pamiętnikowa, zwłaszcza dotycząca XVIII w., to jest epoki naszego konania politycznego, jest dość bogata, i także bardziej pouczająca, niż najstaranniejsze opracowanie naukowe. Zajrzyjmy do niej. Przedewszystkiem uderzy nas fakt, że Polska ówczesna, to nie jest praworządny organizm polityczny, ale — mówiąc dzisiejszym językiem — walczące z sobą koncerny albo trusty przedsiębiorstw przemysłowo-handlowych pod despotycznym zarządem kilku możnowładców: Czartoryskich, Potockich, Sapiehów, Radziwiłłów i innych mniejszych. Ci panowie mają ubocznie zamiary polityczne, ale ściśle związane z ich interesem osobistym.

W tym celu wyborców sejmikowych i trybunalskich przeciągają na swoją stronę napasaniem i pijaństwem, sędziów i posłów pieniędzmi, łaskami

i protekcjami do zyskownych urzędów. Prawie cała szlachta — ofiarowuje na sprzedaż swoje głosy. Podczas wszelkich wyborów odbywa się jawny targ, na którym zwolennicy magnatów odstępują jednych i przechodzą do drugich, lepiej płacących. Dzisiejszy czartoryszczyk, wyżej opłacony, staje się jutrzejszym radziwiłłowczykiem. Obfitsze jadło lub wino, dziesiątek lub setka czerwonych złotych decyduje o przekonaniach. Czyj żłób jest lepiej wypełniony, tego właściciel zwycięża. „Ja zaś" — pisze pamiętnikarz — „dlatego tylko ten ekspens uczyniłem, aby szlachta, partji naszej przyjaciele, obaczywszy, że im nic nie dają i na sejmik nie prowadzą, rozgniewawszy się i zdesperowawszy, że im dalej dawać nie będą, nie poszli do partji flemingowskiej, gdzieby ich z wielką chęcią otwartemi rękami przyjęto, a raz przyjęci dobrze będąc i pieniądze biorąc, już by do nas nie powrócili". Gdzieindziej: „Według mego regestru pieniądze przy listach moich bardzo obligujących wszędzie rozesłałem, oprócz tego na wino węgierskie beczka po 22 zł.". Albo: „Mocno marszałek wiel. kor. łaskami królewskiemi i gotowemi wielkiemi sumami, dając po sto tysięcy złotych jednemu deputatowi, korumpowali trybunał". Wojewoda wileński dał 30.000 zł., ażeby jego człowiek został wybrany marszałkiem trybunału. Sędziowie rozstrzygają sprawy na korzyść tej strony, która dała większą łapówkę. Gdy ta — jak wtedy nazywano — „szabla żydowska" nie wywalczała pożądanego wyroku, zjawiały się bojówki z najętej szlachty, które rąbały, kaleczyły i zabijały przeciwników, rozpędzając sejmik lub trybunał. Gdy przy swojem zdaniu upierał się pewien sędzia, którego nie można było ani przekupić, ani zastraszyć, dano mu podstępnie na gwałtowne przeczyszczenie, ażeby nie mógł przybyć na sesję. Toż samo działo się w sejmach. Ponieważ do uchwał wymagana była jednomyślność, bardzo łatwo było wynająć opryszka, który z byle powodu krzyknął: „*sisto activitatem*" i sejm rozpędził. Do ciał ustawodawczych i sądzących dostawali się nietylko łapownicy, ale ignoranci. „Podstarości grodzki Kossakowski" — mówi Matuszewicz — „w sądzeniu i prawie był nie praktyk, ja także prawa nie rozumiałem i patron mój Władyszko prawa nie umiał, sędzia grodzki Wołodkowicz także był prosta dusza, a Siruć, pisarz grodzki, zawsze był pijany, regent Montwiłł także prawie nic nie umiał". Handlowano wszystkiem, co tylko dało się zamienić na pieniądze, sprzedawano rangi wojskowe, urzędy cywilne, starostwa, dochody z rozmaitych „łask" pańskich i królewskich. Jak do sądów wchodzili ludzie, nieznający zupełnie prawa, tak komendę nad wojskiem obejmowali inni, którzy nie mieli o niej żadnego pojęcia i styczności. Brat Matuszewicza, pułkownik, „przez 12 lat nie zaglądał do swojej chorągwi". Wszyscy noszą jakieś tytuły, których nie pomijają przy najpoufniejszej sposobności, a jednocześnie korzą się przed możnymi, aż do niewolniczego służalstwa, całują ich nogi z głośnem szlochaniem, a jeden z nich całuje publicznie podskarbiego Fleminga „w brzuch dla uzyskania od niego „faworów". Ich wstrętne, obrzydliwą łaciną nadziane przemowy do „dobrodziejów" dosięgają szczytów bałwochwalczego panegiryzmu. „Ta jest *animi magnitudo* (wielkość ducha) w sercu twojem J. W. kanclerzu litewski, starosto nasz brzeski, panie mój i dobrodzieju, wielki przez Prospera Kolumnę, niegdyś książecia litewskiego, antenata twego Heraklido, że jako publiczne dla rzeczypospolitej usługi nie na ostentacji, ale *in conscientia* (w sumieniu) wdzięcznej zakładasz ojczyzny, ani z Aureljanem pretendujesz, *ut tibi pro his semper respublica gratias agat* (aby ci za to zawsze rzeczpospolita dzięki składała), tak też podobnie w tym jedynym pańskich usilności projekcie, abyś kogo tylko łaskawa nieba dyspozycja ciekawemu prezentuje oku, wraz dobrodziejstwy regalizował: *nec laudibus ullis erigi, nec plausu petis clarescere vulgi* (i nie starasz się lśnić pochwałami, ani błyszczeć przychylnością motłochu)". Dalej mówca uniesiony w „adoracji" aż do bezprzytomności, „upadając do stóp pańskich z najczulszemi pocałowaniami dla zaprzysiężenia wiecznych usług", „nie ważąc się podnieść oblicza dla spojrzenia w blask domu dobrodzieja", który „dziełami swemi tak napełnił świat cały, że żaden zakątek nie jest próżny", gdy mu „najwyborniejszych panegiryków tępieje industrja" — „zanurza się w pokorne milczenie".

Gdy Czartoryscy, najbardziej okadzeni tym bałwochwalczym dymem, najlepiej przygotowani do popełniania gwałtów, dokonali przewrotu i opanowali kraj, rozpoczęli rugi osobowe i przemianowania na wszystkich stanowiskach, rozpędzali sejmiki i sejmy oporne, przeprowadzali wybory przymusowe, więzili i ścinali przeciwników pod hasłem dobra ojczyzny. A ta ojczyzna tak była przez ogół szlachecki zapomniana, że on na wstrząsające wypadki — na walkę Augusta z Leszczyńskim, utratę Kurlandji, wkroczenie wojsk rosyjskich, mianowanie królem Poniatowskiego i t. d. — zwracał o tyle uwagę, o ile one swym wpływem odbijały się na interesach prywatnych i sile trustów politycznych. Z tysiąca przeszło stronic pamiętników Matuszewicza, zaledwie kilka zajmuje się „ojczyzną" i niema w nich ani jednego wyrazu, zdradzającego wielką obawę o jej bezpieczeństwo ze strony mocarstw, przygotowujących zagładę Polski. Zniknęło w niej zupełnie działanie organów państwowych, wszystko, co się dzieje, nie wynika z prawa, ale jest doraźnym tworem gwałcicieli i przywłaszczycieli władzy. *Respublica* staje się *res privata*.

Historja nie powtarza się w tożsamościach, ale w podobieństwach. Zapewne, dziś nie okazalibyśmy tyle upodlenia politycznego, ażeby w sporach partyjnych wzywać pomocy wojsk obcych, lub broniąc

rodzimego kandydata do tronu zachować się tak, jak zwolennicy Leszczyńskiego, którzy zebrawszy się w Królewcu, „zbytkowali, parady czynili, bale dawali, w inklinacje i rozkosze powdawali się tak dalece, że wielu w nieprzystojne wpadli choroby“. Ale rysy główne ówczesnego postępowania zachowały się. Pod nazwą „sanacji“, jak przed dwoma wiekami, mamy i dziś bezprawie i zastępowanie prawa samowolą, bojówki, terroryzm wyborczy, ciała ustawodawcze, tworzone według despotycznego rozkazu, sofistykę, broniącą nadużyć i sławienie siły, bezmyślne i służalcze bałwochwalstwo, bezwstyd hańby, obsadzanie najważniejszych stanowisk faworytami, łupiestwo fiskalne, sparaliżowanie energji gospodarczej, nędzę warstw produkcyjnych, nieufność i lekceważenie zagranicy. Pojęciu „Rzeczypospolitej“ po dawnemu przeciwstawia się dziś *res privata*, „państwo uprywatnione“ w najgorszem znaczeniu tych wyrazów. Przed półtora wiekiem zostaliśmy pokarani za to utratą niepodległości politycznej i rozrąbaniem narodu; co nas czeka obecnie? Nawet, gdy nie odpowiadamy na to pytanie rozpaczą, drżymy przed niem z niepewności. Masa społeczna stoi przerażona, cieszą się tylko dobrowolni i płatni niewolnicy, z wytartem czołem i uszami wywiniętemi w kierunku otrzymywanych rozkazów.

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

NOWY CZYNNIK W POLITYCE NIEMIECKIEJ

I

JESTEŚMY świadkami narodzin i rozwoju niesłychanie ciekawego ruchu społeczno-kulturalnego, o wybitnie politycznych celach, szerzącego się w sąsiednich Niemczech bardzo szybko i bardzo systematycznie. Jest to tak zwany ruch nordyczny.

U podstawy ruchu nordycznego leży wiara w najwyższą wartość typu nordycznego w dziedzinie kulturalnej i społeczno-politycznej, już nie tylko w stosunku do rasy czarnej i żółtej, ale tak samo w stosunku do innych europejskich elementów rasowych, które z typem nordycznym zamieszkują wszystkie kraje europejskie, nie wyłączając oczywiście Niemiec. Wiarę tę zaczerpnięto z pism Gobineau, Chamberlain'a, Schemanna, Woltmanna, Ammona. Począwszy od roku 1853, w którym ukazała się książka Gobineau („*Essai sur l'inégalité de races humaines*“), suggestje powyższe szerzyli wymienieni autorowie w najrozmaitszych odmianach.

Po wojnie suggestje nordyczne znalazły bardzo podatny grunt do tego, aby wytworzyć ruch społeczny, ruch zorganizowany i mający ambicje i tendencje polityczne. Długotrwałe przedwojenne suggestje o wyższości typu nordycznego, jak również wiara w to, że Niemcy stanowią poza Skandynawją najbardziej nordyczny kraj, doprowadziły do powstania ruchu, który nie jest ani partją polityczną, ani organizacją społeczną, ani też grupą religijną, ale wszystkiem potrosze. Ruch ogarnął spore grupy inteligencji i młodzieży niemieckiej. Działacze nordyczni wykazują dużą energję organizacyjną oraz, nawet jak na stosunki niemieckie, olbrzymią wprost energję wydawniczą. Sam jedynie Lehmann w Monachjum, co prawda główny nakładca nordyczny, wydał powyżej setki książek z zakresu nordyzmu, tłocząc je w dwu serjach: „*Bausteine zum dritten Reich*“ oraz „*Rassenkunde und Rassenhygiene*“. Niektóre z tych książek rozchodzą się w kilku nakładach, dowodząc ich poczytności w masach. Do najczynniejszych i najpopularniejszych autorów niemieckich, pracujących obecnie w nordyzmie należą: Hans T. K. Günther, H. Konopath-Konopacki, E. Fischer, E. Lenz, R. W. Dorré, L. Schemann, T. Schultze-Naumburg, A. Rosenberg. Pozatem w kierunku ideologji nordycznej pracuje kilku autorów amerykańskich i skandynawskich, oraz Francuz G. Vacher de Lapouge. Najoporniejszą w stosunku do nordycznej infekcji jest dotychczas Anglja.

Ruch nordyczny posiada swój odpowiednik i dopełnienie w partji narodowych socjalistów, organizowanej i kierowanej przez Hitlera. Doktryna tej partji jest bardzo poważnie przepojona ideologją nordyczną. Pozatem oba ruchy są powiązane węzłami personalnemi, a prawdopodobnie też i organizacyjnemi. Analizując stosunki obu ruchów, dochodzi się do przekonania, że ruch nordyczny jest z jednej strony ruchem bardziej ezoterycznym, wtajemniczonym, hitlerowcy zaś są organizacją mas i bojówkami tego ruchu. Ruch nordyczny jest przytem obliczony na działanie nie tylko w Niemczech, podczas gdy hitlerowcy mają jedynie cele wewnętrzno-niemieckie.

Rozczytując się w ogromnej już literaturze nordycznej, zdołałem dotychczas uchwycić niektóre cele tego ruchu. Jakkolwiek nie przestudjowałem jeszcze całego materjału, postaram się cele te ująć w formie kilku punktów, przypuszczając, że dalsza lektura tezy moje jedynie rozszerzy i utwierdzi, ale ich nie obali.

1. Zwolennicy ruchu nordycznego wierzą, że typ nordyczny (blondyn długogłowy, wysoki, o niebieskich oczach, długiej twarzy i wąskim nosie, zamieszkujący częściowo albo w całości terytorja Francji, Anglji, Niemiec, Skandynawji, Polski, krajów bałtyckich i Rosji), jest najzdolniejszym w dziedzinie twórczości, prowadzenia, organizowania i zdobywania. Wszystko, co dotychczas powstało w zakresie kultury i polityki, zawdzięczamy ludziom tego typu.

2. Typowi temu zagraża jednak tak zwany „*Untermensch*“. Na miano to zasługuje wszystko, co rasowo nie jest nordyczne, a nosi oblicze ludzkie. Ludzie typu nordycznego wymierają przedewszystkiem dlatego, że jako najbardziej wartościowi dostają się do najwyższych warstw społecznych i razem z niemi degenerują.

3. Trzeba zatem powiększyć ilość cennej krwi nordycznej w społeczeństwie, dążyć do jego „*Aufnordung*“.

4. Dążenie to można zrealizować przedewszystkiem przez zwiększenie rozrodczości ludzi nordycznych.

5. Ponieważ wieś bardzo silnie proteguje przyrost naturalny, przeto należy osadzić możliwie największą ilość ludzi nordycznych na wsi.

6. Aby można było cele powyższe zrealizować, należy zorganizować imperjum nordyczne od Adygi po biegun północny i od Anglji po Rosję. Droga do tej nordycznej rzeszy idzie przez opanowanie władzy w Niemczech przez hitlerowców i zabór Polski. Państwo to przeprowadziłoby swą organizację na wzór hinduskiego ustroju kastowego, tworząc najwyższą kastę z elementu nordycznego.

Ruch wytknął sobie, jak z tego widać, cele nie małe. Wielkość tych celów, stawianych po wojennej klęsce niemieckiej, budzi na ustach wszystkich rozsądnych ludzi w najlepszym razie uśmiech powątpiewania. A jednak w tem szaleństwie jest metoda oraz duża chytrość polityczna. Trzeba sobie wyraźnie uświadomić, że bodaj największym współczynnikiem wszystkich pomysłów nordycznych jest obawa przed Polską i jej możliwościami rozwojowemi. Inspiratorowie i przywódcy obozu nordycznego zrozumieli, że, jak to trafnie stwierdził ostatnio R. Dmowski, Niemcy obecne nie są na tyle silne, aby zniszczyć naród polski. I dlatego to organizują ruch nordyczny i dążą do zorganizowania rzeszy nordycznej, aby rzucić przeciwko Polsce całość świata germańskiego i jego adherentów. Liczą zaś nordycy na wyjątkowość chwili dzisiejsiejszej, pełnej dyktatur, rozmaitego rodzaju „elit" i bardzo nieraz ekscentrycznych i, zdawałoby się, nierealnych tworów politycznych. Czyż opanowanie Rosji przez słaby stosunkowo spisek komunistyczny i władanie Rosją przezeń nie uprawnia w ich mniemaniu bodaj częściowo optymizmu spisku niemiecko-nordycznego?

II

Chorąży omawianego ruchu, prof. Hans Günther, pisząc w czasopiśmie nordycznem *„die Sonne"* (r. 1928, str. 403 — 411) o *„Allnordische Utopie"* to jest o rzeszy nordycznej, wyraża przypuszczenie, że rzesza ta wtedy będzie mogła powstać, gdy myśl nordyczna przeniknie dostatecznie wszystkich nordyków wszystkich niemieckich państw i stanów społecznych, oraz gdy to samo stanie się w innych nie niemieckich a nordycznych państwach. W myśl tego wskazania prowadzi się pracę w Niemczech przedewszystkiem na terenie młodzieży. Na dorocznych zjazdach nordycznych organizacyj, odbywających się na kształt naszych obozów harcerskich, gromadzi się przedewszystkiem młodzież. Istnieją organizacje młodzieży rasowo-nordycznej oraz działa się na organizacje szersze, idąc do nich z nordyczną ideologją. Do ostatniego typu należą przedewszystkiem *„Wandervogel"*, młodzież hitlerowska i pewne organizacje młodzieży wiejskiej. W związku z tem istnieje już pewna literatura metodyczna, dotycząca zagadnienia wychowania młodzieży w duchu nordycznym. Jest ona opublikowana w czasopiśmie *„die Sonne"*. Zwraca się w niej uwagę na to, aby nie traktować tych rzeczy z młodzieżą zbyt „naukowo". Jednem z najważniejszych zadań tego wychowania, to wpojenie w młodych ideału piękności nordycznej, a więc kombinacji: jasne włosy, jasne oczy i jasna skóra. W miarę dorastania młodzież ma być zapoznawana przedewszystkiem z nordyczną historjozofją.

Sporadyczne te wysiłki są jednakże za małe, aby można było przy ich pomocy doprowadzić ruch nordyczny do pożądanej siły. Rwą się one i nie pozwalają na odosobnienie młodzieży, tak potrzebne przecież do tego, aby wpoić w nią nowe, rewolucyjne w stosunku do dotychczas obowiązujących, przekonania. Nordycy tedy zaczynają tworzyć nową, nordyczną szkołę. Zagadnieniu szkoły nordycznej poświęcony jest grudniowy zeszyt rocznika 1930 czasopisma *„die Sonne"*. Zagadnieniu temu poświęcono trzy artykuły. Pierwszy z nich *„Die nordische Schule. Ein Entwurf in Leitsätzen"* napisał R. Richard. Autor ujmuje cele ruchu nordycznego zgodnie z tem, co pisałem na początku moich uwag. Ponieważ ruch nordyczny jest ruchem selekcyjnym (*eine Auslesebewegung*), przeto artykuł zajmuje się przedewszystkiem szkołą średnią. Dzisiejsza szkoła średnia w Niemczech nie odpowiada wedle autora potrzebom ruchu nordycznego, trzeba zatem stworzyć nową nordyczną szkołę średnią. Następnie, w najdłuższym rozdziale, zajmuje się autor materjałem i planem nauczania. Rozdział ten rozpoczyna następujący *passus*: „Wtenczas tylko będzie można pozyskać młodzież dla ruchu nordycznego, jeśli uświadomi się ją o faktach, które ruch nordyczny wydobył. We wszystkich przedmiotach, nadających się do tego, musi się uwzględnić *„Erkenntnisse der Vererbungs — und Rassenforschung"*. W tym celu nie trzeba koniecznie uciekać się aż do całkowitej zmiany materjału nauczania. Należy tylko odpowiednio naświetlić obowiązujące dziś przedmioty. Można nawet zmniejszyć materjał naukowy na rzecz pewnych zdecydowanych myśli, z których najważniejszą będzie myśl rasowa. Przestrzega autor przed przeholowaniem rasowem, aby w myśl znanej psychologji młodzieńczej nie uzyskać wręcz innego skutku. Przy nauce religji nie należy zanadto podkreślać różnic wyznaniowych, jeśli mowa o wyznaniach chrześcijańskich. Podkreślać należy germańskie *„Besonderheiten"* niemieckiego chrześcijaństwa, zerwać ze Starym Testamentem, a natomiast uwzględnić silnie *„alte germanischen Glaubensvorstellungen"*. W podobny sposób omawia pokrótce autor inne przedmioty. Drugi rozdział poświęca autor szkole nordycznej jako urządzeniu selekcyjnemu, stawiając tezę, że szkoła ma służyć selekcji nordycznej. Musi ona mieć ostre wymagania. Dostać się do szkoły nordycznej będzie można po egzaminie, który ma stwierdzić wyższe zdolności umysłowe i wyższy charakter. Tylko ostra selekcja może dać dobrą szkołę. Szkołę należy uplastycznić, aby najzdolniejsi kończyli ją prędzej oraz mogli prędzej wchodzić w związki małżeńskie. Nordyczna szkoła musi także dokonać selekcji obyczajowej, w myśl nordycznej obyczajności, której podstawą jest ideał bohatera. Szkoła nie spełniłaby swego selekcyjnego zadania, gdyby nie dobrano do niej nordycznego nauczycielstwa. Nauczyciele winni być dobierani raczej ze względu na ich nordyczne właściwości i charakter, aniżeli nawet na posiadane wykształcenie.

Następny rozdział poświęcony jest koncepcji *„Nordische Führerschule"*. Ze szkoły tej mają wyjść nietylko agitatorzy, ale przedewszystkiem twórcy przyszłej kultury nordycznej w narodzie niemieckim. Szkoła ta ma reprezentować jeszcze ostrzejszy dobór

uczniów, umocniony takiemi środkami, jak czas próby, oraz przedstawienie danych z „*Familienbuch*'u" tak silnie pomiędzy Niemcami zakorzenionego. Byłyby to wiejskie, internatowe szkoły. Nakoniec przeciwstawia się autor wyższemu kształceniu kobiet, aby ich nie odciągać od macierzyństwa.

W następnym artykule, zatytułowanym „*Entwurf eines Reichschulgesetzes für das deutsche Volk im dritten Reiche*" przedstawia Bodo Ernst próbę prawa szkolnego, które będzie obowiązywać po przewrocie hitlerowskim w Niemczech. W projekcie tym, ilustrującym przedewszystkiem doktrynę narodowo-socjalistyczną, uderza wysunięcie, między innemi, na pierwszem miejscu szkolnictwa średniego, szkoły nordycznej pod nazwą „*deutsch-Nordische Schule*". Jest to szkoła typu opisanego przez Richarda.

W trzecim wreszcie artykule „*Die Erziehung des nordirchen Menschen*" p. F. Schöll, kierownik pierwszej prywatnej szkoły nordycznej, opisuje jej działalność, pokrywającą się mniej więcej z nordycznemi dążeniami. Szkołą tą jest *Landerziehungheim Vogelhof* w Hayingen w Wirtembergji.

III

Powyżej opisana praca organizacyjno-wychowawcza nie doprowadzi jednak sama przez się do zorganizowania nordycznej Rzeszy. Do powstania jej doprowadzić może jedynie odpowiednia polityka. Pierwszym etapem w tej pracy ma być opanowanie władzy w Niemczech przez hitlerowców, dalszym zaś zabór Polski. Dzieła zaboru Polski dokonać chcą Niemcy oczywiście siłą, ułożywszy sobie przedtem w dogodny dla siebie sposób stosunki międzynarodowe. Jaką do tego celu wybrali drogę, wskazuje książka A. Rosenberga p. t. „*Der Zukunftsweg einer deutschen Aussenpolitik*" (Monachjum, 1927).

Trzeba podkreślić, że autor jest jednym z najwybitniejszych hitlerowców oraz doskonale operuje argumentami, zaczerpniętemi z literatury nordycznej, zwłaszcza w zastosowaniu ich do politycznych potrzeb Niemiec.

Autor wychodzi z rozważań o imperjalizmie i na tle tych rozważań snuje nić swoich wskazań dla zagranicznej polityki Niemiec. Jedynie uprawnioną odmianą imperjalizmu jest, wedle niego, tak zwany narodowy imperjalizm. Objawia się on wtedy, kiedy zdobycze robi państwo przeludnione, aby dać ujście swej ludności. Oczywiście Niemcy znajdują się właśnie obecnie w takiej sytuacji, że musi u nich ów „*völkischer Imperialismus*" wystąpić na widownię. Nieuprawnionym zaś i zbrodniczym jest imperjalizm francuski, czysto wojskowy. Rosenberg nastawia się krytycznie do wszystkich dotychczasowych poczynań niemieckich, z wyjątkiem zdobyczy na kresach wschodnich. Zarówno mrzonki o cesarstwie rzymskiem narodu niemieckiego, jak też wyprawy krzyżowe, przedwojenna polityka kolonizacyjna oraz wielka wojna były przejawem romantycznego imperjalizmu. Bezsensy te nie zostawiły po sobie nic, tylko utratę krwi niemieckiej.

Na tle tych rozważań dochodzi Rosenberg do wniosku, że należy zrezygnować z wszelkich romantycznych pomysłów, a „*Raum*'u" dla narodu niemieckiego szukać w Europie, w najbliższych Niemcom okolicach. Każdy tedy, kto myśli o zagranicznej polityce niemieckiej, musi sobie odpowiedzieć na pytanie: „*Welche Mächte stehen einer stärkaren Ausweitung z. B. nach Polen freilich gegenüber?*". To zresztą „*z. B.*" jest niepotrzebnie dodane, gdyż autor tylko pod tym kątem rozpatruje swą politykę zagraniczną Niemiec. Odpowiadając na tak postawione pytanie, stwierdza, że przeciwdziałać zaborowi Polski przez Niemcy będzie jedynie Francja i Polska, obojętnie zaś patrzeć będą Włochy i Anglja.

W myśl tedy powyższego rozumowania Rosenberg propaguje nowe wielkie trójprzymierze, to jest: Niemcy, faszystowskie Włochy i Anglja. Ze spółki tej przewiduje Rosenberg poważne korzyści dla wszystkich trzech kontrahentów. A więc Włochy zabezpieczą się przed atak ami masonerji, będą miały wolną rękę w ekspansji na Morzu Śródziemnem, zyskają możliwości pokonania Jugosławji, no, i będą miały spokój ze strony Francji. Anglja osiągnie we wspomnianem przymierzu zabezpieczenie ze strony Francji, która, zdradzając interesy białej rasy, stała się wodzem czarnych i prz ez to największą rywalką Anglji. Pozatem Niemcy, ustaliwszy swą granicę bezpośrednio z Rosją, st worzą doskonałą przeciwwagę dla rosyjskich zapędów w Azji, skierowanych przeciw Anglji. Błogosławieństwo tego sojuszu odczuje Anglja specjalnie w Indjach.

Oczywiście, Niemcy jako projektodawcy i organizatorzy, zastrzegają dla siebie korzyści największe. Rosenberg mówi w swej książce tylko o dwóch. Są to: zabór Polski i zneutralizowanie Francji przez Włochy i Anglję. Nie wyczerpują one jednak w zupełności niemieckich możliwości i spodziewanych korzyści, płynących z powyższej koncepcji. Najpierw taki system polityki zagranicznej, uwieńczony zaborem Polski, umożliwiłby Niemcom ekonomiczną eksploatację Rosji, a także zaprzyjaźnionej Ukrainy w razie jej powstania. To byłaby już, wedle rachuby sztabu nordycznego, podstawa do zorganizowania rzeszy nordycznej. Ale to jeszcze nie wszystko. Większe jeszcze nadzieje wiąże się z ostatnim etapem rozwoju całego przedsięwzięcia, to jest z rzeszą nordyczną. Oto Niemcy marzą, że uda się im na tej drodze opanować imperjum brytyjskie. Kierownicy niemieckiego ruchu nordycznego zdają sobie sprawę z ciężkiej sytuacji Anglji. Przypuszczają oni, że Anglja w niedalekiej przyszłości, nie będąc w możności utrzymania przy sobie świata kolonjalnego, uda się do nich, względnie do jakiegoś zawiązku rzeszy nordycznej, z prośbą o pomoc, ofiarując wzamian za to *sui generis condominium*. W ten sposób weszłyby Niemcy napowrót w posiadanie świata kolonjalnego. Nie są to żadne z mojej strony fantazje. Wyraźnie o tem pisze Günther w cytowanym tu już artykule „*Allnordische Utopie*". Liczy przy tem najbardziej na momenty populacyjne. Wierzy on, że Niemcy przy pomocy ruchu nordycznego wzmocnią swój stan chłopski i powiększą przyrost naturalny, podczas gdy Anglja stoi przed ruiną populacyjną. Ale oprócz tego mam jeszcze ciekawszy dowód, że nie poniosła mnie fantazja. Pisałem już o nordycznych pomysłach szkolnych, wprowadzających średnią szkołę nordyczną. Ciekawe jest, że projektodawca ustawy, B. Ernst, wprowadza niebywały nigdzie dotychczas nowy typ szkoły średniej (obok nordycznej, humanistycznej i przyrodniczej) mianowicie: „*die deutsch-arische Schule*". Uczono-

by tam, obok przedmiotów ogólno-kształcących, ciekawego kompleksu przedmiotów, ujętego nazwą: *„der persische und indische Kulturkreis"*. Zobaczywszy taki typ szkoły, początkowo myślałem, że jest to ujście dla niemieckiego ducha naukowego, i że kierownicy ruchu nordycznego ulegli hypnozie doktryny nordycznej. Wiadomo przecie, że Gobineau był entuzjastą zarówno Persów jak Hindusów, i ich historji oraz kultury. Jest to zwłaszcza zastanawiające, jeśli ten sam B. Ernst w tym samym projekcie mówi: *„Das deutsche Volk braucht keine gelehrten Vielwisser"*. Ale przemyśliwając ostatnie konsekwencje nordycznej rzeszy, zrozumiałem. Chodzi tu bez wątpienia o wykształcenie korpusu oficerskiego i urzędniczego dla angielskich Indyj. Plan Berlin — Bagdad nie tylko nie został pogrzebany w czasie wojny światowej, ale zdaje się Niemcom o wiele realniejszym, kiedy już myślą o aryjskiej szkole.

Pobieżne moje notatki mają na celu zwrócenie uwagi na niemiecki ruch nordyczny polskim sferom politycznym. Ruchowi temu należy się nie tylko z uwagą przypatrywać, ale także pod kątem jego suggestyj rozpatrywać politykę niemiecką. Czynić to zwłaszcza będzie trzeba na wypadek ewentualnego objęcia władzy w Niemczech przez hitlerowców.

KAROL STOJANOWSKI

OJCIEC BROWN W RZYMIE

Wbrew opinjom uczonych znawców i krytyków literackich, cenię bardzo wysoko kryminalno - detektywistyczne opowieści Chestertona, w których głównym bohaterem jest ojciec Brown. Postać ta nietylko jest symbolem czasów nowych, nietylko owiana jest czarem poezji Chestertonowskiej, lecz — wydaje mi się — jest szczególnie droga swemu twórcy.

Ojciec Brown używa do wykrywania zbrodni i zbrodniarzy innych zgoła metod, niż będący jego prototypem z epoki pozytywizmu Sherlock Holmes. Ojciec Brown, przyjrzawszy się ludziom i wysłuchawszy opowieści o wydarzeniach, koncentruje swą uwagę na faktach i cechach charakteru, które są dla danej sprawy istotne. Inni widzą powierzchnię życia i jego zgiełk zewnętrzny, ojciec Brown dostrzega odrazu to, co jest najważniejsze, co jest trwałe, co decyduje... Przez to właśnie jest uosobieniem swego twórcy.

*

Prowadzi nas Chesterton w swem dziele po różnych regjonach naszej ziemi, po szlakach dziejowych ludzkości, po drogach, przebytych przez myśl człowieka, i znaczonych poruszeniami jego serca, po zakamarkach i najtajniejszych przeżyciach jego duszy. Nigdy zaś nie przykuwają jego uwagi pozory, zawsze — czy to w Jerozolimie, czy w Ameryce, czy w przeszłości Anglji, czy w dziejach ludzkości, czy w sercu św. Franciszka z Assyżu, czy w duszy zbrodniarza — daje on poznać czytelnikowi to, co jest najgłówniejsze, co jest istotne, co boskie i ludzkie zarazem.

Taką jest także jego książka o Rzymie [1]). Na wieczne miasto spojrzał oczami ojca Browna. Poprzez nawarstwienia szeregu epok historycznych dostrzegł rzeczy wieczne. Rzym jest dziś miastem nowoczesnem, otaczającem pomniki okresu odrodzenia. Rzym średniowieczny kryje się po kościołach i podziemiach kościelnych, Rzym starożytny jest zrozumiały tylko dla wtajemniczonych, którzy z jednej kolumny, z jednego kapitelu, z jednego łuku lub sklepienia potrafią odczytywać przeszłość i mają dość wyobraźni, by ją sobie przed oczyma duszy odtwarzać. Większość pielgrzymów czy podróżników zostaje przytłoczona przejawami życia współczesnego i tem, co pozostało po Rzymie papieży, opiekunów sztuki odradzającej się pod słonecznem niebem Italji. Chesterton interesuje się żywo odbudowaniem państwa kościelnego, studjuje faszyzm, zwiedza kościoły i muzea, patrzy na zabytki architektury i sztuki, spogląda na Rzym z otaczających go wzgórz, błądzi po jego ulicach, lesz poprzez to wszystko widzi rzeczy wieczne i istotne. Interesuje go Rzym przedewszystkiem, jako kolebka katolicyzmu i całej kultury zachodniej.

*

Wierzącego katolika, poetę, człowieka północy, przyzwyczajonego do półmroku świątyń gotyckich, pociąga z pewnością bardziej średniowiecze, niż renesans i barok rzymski. Szuka też jego śladu w opuszczonych bazylikach i na starych mozaikach. Bo Chesterton jest przeświadczony, że św. Franciszek z Assyżu podtrzymywał i podtrzymuje Kościół, tak jak Atlas podtrzymywał świat. Gdy stoi przed kościołem laterańskim, to ma w oczach nie jego renesansowe formy i zdobiące go barokowe postacie, lecz wizję przeszłości — spotkanie Innocentego III ze św. Franciszkiem i sen, w którym wielki Papież średniowiecza widział przybyłego z Assyżu biedaczynę w łachmanach, podtrzymującego całą budowę Kościoła.

A jednak ten wielbiciel średniowiecza, mniemający, że zbliżamy się do epoki, która będzie nawrotem do idej kierowniczych z przed pół tysiąca lat, zdolny jest do wykrycia tajemnicy tego Rzymu, który znalazł swój wyraz kamienny w kościele św. Piotra i w nagromadzonych w nim, a także w innych gmachach z epoki odrodzenia dziełach sztuki.

Kościół dla zapewnienia panowania ducha Bożego na ziemi i zapewnienia posłuchu jego prawom, musiał mieć siłę ziemską i znaleźć środki trafienia do dusz ludzkich. Stolica Cesarstwa Rzymskiego została przeniesiona na wschód, wówczas biskupi rzymscy sprawili to, że się ośrodek cywilizacji rzymskiej ostał na zachodzie i stał się podstawą nowej formacji historycznej, z której wyszły państwa i narody Europy. Trzeba myśleć — powiada Chesterton — o Papieżach „jako o mówcach, którzy wypowiedzieli pewne słowa, jako o sędziach, którzy wydali pewne wyroki" i „gdy ktoś raz się przeniknie ideami Pewności i Słowa, ten zacznie rozumieć św. Piotra (Kościół); nawet wówczas, gdy go nie będzie lubił". Kościół jako dyscyplina i ramy chrześcijaństwa, jako organizacja wiernych i stróż rozwoju myśli religijnej, jest trud-

[1]) G. K. Chesterton. *„The Resurrection of Roma Hoddes and Stoughton"*. Londyn 1930

niejszy do pojęcia, niż nieokreślone uczucie religijne, lub nastrój wywołany promieniami słońca, przedzierającemi się przez witraże gotyckiej katedry. Lecz tylko taki Kościół urabia dusze ludzkie i wyciska swe piętno na biegu dziejów.

Tak trzeba rozumieć wymowę posągów, zapełniających nawę i kaplice św. Piotra, by wraz z Chestertonem nadawać historyczne znaczenie odbudowie państwa kościelnego. Istnienie tej *Citta del Vaticano* jest żywem świadectwem życia katolickiego; wiek XIX uważał papiestwo za rzecz z przeszłości. Dziś wiemy — powiada Chesterton — „że Papiestwo jest tak samo rzeczą przyszłości, jak przeszłości, że jest ono całkowicie i wyraźnie rzeczą teraźniejszości".

*

Po rozdziale „o powrocie bogów" pisze Chesterton rozdział „o powrocie Rzymian". Te dwa objawy „zmartwychwstania" uderzają go bowiem przedewszystkiem w Rzymie.

Reformacja odwróciła narody Europy od Rzymu Papieży (nawet narody katolickie przeniknął w wieku XIX duch protestantyzmu), równocześnie zaczęła blednąć tradycja Rzymu starożytnego i jej wpływ na życie ludzi naszego kontynentu. „Europa stanęła na głowie" — powiada Chesterton. Widać było jej nogi pięknie obute i zaopatrzone w ostrogi, a wykonywające różne skomplikowane poruszenia, gdy tymczasem siedlisko myśli poniewierało się w błocie i pyle. Wpływy Rzymu starożytnego przenikały niegdyś całe życie umysłowe i uczuciowe narodów europejskich. „Romans Rzymu, jako legenda powszechna poza legendami poszczególnych narodów, był naczelną rzeczywistością świata prawie do naszych czasów. Tradycja ta była dumą zarówno dla ludzi północy, jak południa, zarówno dla protestantów, jak dla katolików, była truizmem w czasie rewolucji francuskiej, podobnie jak w epoce odrodzenia. Nagle zaczęło się dziać coś, co wywołało wszystko zło w Europie i doprowadziło wkońcu do wielkiej wojny". Tak! Chesterton twierdzi całkiem na serjo, że odwrócenie się narodów europejskich od Rzymu starożytnego było przyczyną wojny, która nie wynikła w następstwie konfliktów między narodami czy państwami, lecz była początkiem wielkiego kryzysu duchowego i moralnego, spowodowanego odstępstwem Europejczyków od zasad, na których była zbudowana ich cała kultura i cywilizacja. Zwycięstwo koalicji państw zachodnich nad germanizmem było niczem innem — powiada Chesterton — jak odrzuceniem barbarzyńców przez Rzym. „Bo Rzym zmartwychwstaje" — dodaje i wskazuje na nowoczesne odrodzenie Włoch.

Chesterton jest — jak wiadomo — demokratą i apostołem wolności. Nie może tedy być wielbicielem faszyzmu. Znajdujemy też w jego książce dużo uwag krytycznych o polityce Włoch faszystowskich. Lecz, mimo to, widzi w myśli i w dziele Mussoliniego powrót do Rzymu starożytnego.

Rządy państw europejskich zostały uzależnione w ciągu wieku XIX od dwóch potęg — pieniądza międzynarodowego i wolnomularstwa. „Tysiące ludzi sądziło, że wprowadzają jawne braterstwo między sobą; tymczasem z niezwykłą szybkością władza przechodziła do tajnych związków braterskich nielicznej garści jednostek". (Ma Chesterton na myśli wolnomularzy, o których powiada: nie byli mularzami i nie byli wolni; nie mieli nawet wolności mówienia, że są związani). „Mussolini powołał do życia rząd, który jest naprawdę rządem, bo jest niezależny od wspomianych wyżej dwóch potęg, który może robić jawnie to, co oświecone, liberalne i demokratyczne rządy robią potajemnie".

Wielka wojna była początkiem kryzysu i zapowiedzią reakcji. Po niej powracają na powierzchnię życia rzeczy, zdawało się, umarłe na zawsze. „Warszawa jest znów Warszawą; Kraków jest starszy, a przez to młodszy niż Warszawa — Europa znów jest pełna starych, średniowiecznych rzeczy: dawne Królestwo Czeskie, dawne odosobnienie Węgrów, dawne państwo Serbskie. A jeśli będziemy szukali w gazetach, co się nowego dzieje w świecie, to nawet gazety nie zdołają ukryć przed nami, że znów są walki w Jerozolimie i że znów panuje ład i porządek w Rzymie".

Tak pojmuje Chesterton wielką katastrofę wojenną naszych czasów i — zdaniem naszem — ma rację. Przyczyny wojny tkwią bowiem bardzo głęboko, w całej strukturze życia duchowego i materjalnego narodów europejskich. Owdróciły się te narody od Rzymu — to znaczy zatraciły znajomość praw rządzących życiem społecznem ludzkości, praw znanych Rzymowi starożytnemu. Przestały się stosować do tych praw i dożyły chwili, gdy przeniewierstwo to mścić się zaczęło w podobny sposób, jak poniewieranie prawami hygieny mści się na jednostce ludzkiej. Zrozumie Chestertona ten, kto przyzna, że Rzymianie potrafili, jak nikt inny na ziemi, z doświadczeń życia społecznego i politycznego wynieść najwięcej wiedzy praktycznej i najlepiej sformułować tę wiedzę.

*

„Ojciec Brown nie dbał o swój wygląd zewnętrzny, nic go nie obchodziło to, czy jego zachowanie się było komiczne, czy pospolite. Siedział na podłodze, a jego wielka głowa i krótkie nogi sprawiały, że był podobny do dziecka bawiącego się zabawkami. Lecz nagle w jego oczach zjawiło się spojrzenie, które widywano w oczach wielu ludzi w ciągu wielu wieków w czasie tysiąca dziewięciuset lat; tylko, że ci ludzie nie siadywali zwykle na podłodze, lecz przy stołach, przy których odbywały się narady, lub też na tronach biskupich i kardynalskich; sięgające daleko, bystre spojrzenie pełne pokory, właściwej ludziom, którzy dźwigają ciężar przekraczający siłę człowieka. Takie pełne troski i sięgające daleko spojrzenie miewają misjonarze i ci, co przez tak wiele burz przeprowadzili nawę św. Piotra".

Gdyśmy zamykali książkę Chestertona o Rzymie, przypomniał się nam powyższy ustęp z „Ta jemnicy ojca Browna". Kto spotkał Chestertona, wspinającego się na Kapitol, lub z przed kościoła *Trinità dei Monti* patrzącego na Rzym, ten może się uśmiechnął, spostrzegłszy grubasa o barokowych kształtach, w niedbałym stroju, rozmawiającego z samym sobą. Lecz jeśli spojrzał w oczy tej niezwykłej, a pozornie pospolitej postaci, zobaczył oczy ojca Browna. Takiemi oczami, jak świadczy omówiona książka, widział Chesterton Rzym.

STANISŁAW KOZICKI

PIĘKNE POLKI

(U R Y W K I)

ANNA i HRABIA D'ABANCOURT

AN. Cieszę się, że pan wrócił.
HR. Jakie miłe słowa!
„List do nieszczęścia"? Poco z niem korespondować?
AN. To utwór pani Staël, jeszcze z dni terroru.
HR. Znam. Emigrantka żale zwierzała jezioru,
Dosłuchując się w szumie fal, w wioseł stukocie
Prędkiego gilotyny tempa na szafocie.
AN. Lubię tę zwrotkę: „Spokój rozlany w przyrodzie,
Tylko od mego serca wzburzonego stroni,
Czyżbyś zawsze ty jeden, biedny ludzki rodzie,
Wyjęty był z pod prawa powszechnej harmonji"?
Ładne, prawda? I smutek z tych pytań ulata...
HR. Czekają na odpowiedź od początku świata.
AN. I aż do końca świata będą na nią czekać,
Dopowiedział pan wzrokiem.
HR. We wzroku człowieka
Nie jest bezpiecznie czytać...
AN. Czy są tam powieści
Któreby należało na indeks pomieścić?
Lecz może to pytanie trzeba też odłożyć,
Aż nas na koniec świata przywoła sąd Boży?
HR. Kto wie, czybyśmy długo na koniec czekali:
Światy kończą się szybko. Jeden się rozwalił
W naszych oczach.
AN. W zmurszały świat musi paść piorun!
HR. Widziałem ów dzień sądny w Tuilerjach, u dworu,
Gdy lud wtargnął, wyrżnąwszy szwajcarów ośmiuset
Na pokoje królewskie...
AN. Król z rodziną uszedł!
HR. Wolał się prowodyrom poddać, jako jeniec,
Niż widzieć głowę syna pod Luwru sklepieniem
Na pice.
AN. Mnie mówiono, że pan de Broves, starzec,
Słysząc, iż mu król cofnąć się przed bitwą każe,
Odparł, że po raz pierwszy króla nie posłucha,
Bo ma prawo na straży tronu oddać ducha.
HR. Brniemy w smutne historje.
AN. Co tam, brnijmy dalej!
HR. Gdy sankiuloci resztę szlachty dorzynali,
Znalazłem się, wgnieciony w wyjącą czeredę,
Pod sypialnią królowej, gdzie pan Diët, sam jeden,
Za szpadą, w kapeluszu wbitym na pół czoła,
Mocą wzroku na chwilę napaść wstrzymać zdołał.
Krzyknięto, by się poddał, że sypialnia pusta,
Że królestwa już niema i bój wszędzie ustał.
Odkrzyknął, że królewskim będąc podkomorzym,
Na swoim posterunku winien żywot złożyć.
AN. Stanął pan z nim?
HR. Łbem tłukłem w tłum, co mię otaczał;
Zbito mię z nóg. Ktoś krzyknął: nie deptać smarkacza,
Lud się nie shańbi mordem kobiet i dzieciuchów.
AN. Odeszli?
HR. Półprzytomnie leżący bez ruchu,
Widziałem, jak ci ludzie spełniali najchętniej
Rozkazy, które dawał klubowy dziesiętnik,
Cuchnący dla pozoru też winem i rzepą...
W każdej epoce żyją ludzie z różnych epok,
Lecz tam, żeby postępu łatwiejszy był pochód,
Przypędzono okazy pierwotne motłochu.
A zpoza pleców tłumu owych jaskiniowców
Pchał ludzkość ku przyszłości spisek jej odnowców.
AN. Myślę, że widząc karność w gromadzie pół-zwierzy
I heroizm jednostek, pan znowu uwierzył
I we Francję, i w ludzkość, i w przyszłość ich obu.
HR. Rzeź miałaby mię wprawić w zachwyt dla spraw globu?
Nie, pani! Raczej jakiś zaświtał mi podziw,
Że ów świat staroświecki, co ze świata schodził
Po tysiącu lat zgórą potężnego bytu,
Jeszcze i w dzień konania zyskał neofitów.
AN. Jakto?
HR. Wśród dorzynanych obrońców korony
Stanął z własnej ochoty człek nieuszlachcony,
Który swój ambit na tem umocował głównie,
Że nie mogąc jak szlachta żyć,—zmarł z nią na równi.

NAPOLEON i HELENA

NAP. Słucham panią.
HEL. Sire, błagać pragnę najpoddaniej,
Byś raczył w swej dobroci, najjaśniejszy panie,
Na kilka dni ze służby zwolnić mego męża:
On działa za trzech ludzi, zdrowie nadwyręża...
NAP. Czy się uskarżał?
HEL. Mój mąż nigdy się nie skarży!
NAP. Tu u was, pracą jednych, trzeba równoważyć
Gnuśność drugich, a takich niemało w tych stronach.
HEL. Czyż przez to praw do męża ma się wyzbyć żona?
NAP. Pani uważa męża za wyłączną własność?
Piękne panie są międzynarodową kastą:
Z jednakowych cech wszędzie rozpoznać was można.
HEL. Przywiązanie, to chyba cecha niezbyt zdrożna?
NAP. Dla mnie w prostocie ducha, było dotąd jasno,
Że od męża zależy żona, on zaś własność
Stanowi swego kraju.
HEL. Sire kobietom przeczy
Wszelkich wpływów dodatnich?
NAP. W historji człowieczej
Na jedną wpływ dodatni miewającą Ewę
Przypada sto, co judzą mężczyzn do głupstewek.
HEL. Więc tak wielką szkodniczką jest każda kobieta?
NAP. Nie każda, ale prawie każda.
HEL. Wolno spytać
O rzecz poufną?—Kiedy najjaśniejszy panie,
Bywałeś najszczęśliwszy?
NAP. To dziwne pytanie...
Dotychczas nigdy w życiu nikt mi go nie zadał.
HEL. Sire, prócz ciebie samego!
NAP. Tu kryje się zdrada:
Pani z mych wspomnień hołd chce wymusić dla kobiet?
Nic z tego! Bardzo jasno przypominam sobie,
Że i bez ich udziału, w kampanji we Włoszech,
Przeżywałem najgłębsze w mem życiu rozkosze.
Krzyczano mi: — *Evviva il Liberatore!*
Czułem, że ziemię tracę z pod nóg, rozpęd biorę
Nad ziemię i zanurzam się cały w błękicie...
Dwadzieścia sześć lat miałem.
HEL. Gdy oswobodziciel
Usłyszy, jak ten okrzyk wzniesie Polska cała...
NAP. To znów będzie mi ziemia z pod nóg uciekała?
Pani sądzi?
HEL. Napewno, Sire!
NAP. Dajże to Boże!
Dotąd brnę w polskim śniegu i w polskiem bajorze,
Zbyt rzadko ozdabianem pięknych Polek wdziękiem.
Mąż pani może zostać tu, dokąd chce.
HEL. Dzięki!

(Kłaniając się, Helena potrąca mapę.)

Świat się chwieje!...
NAP. To zwykła rzecz, nic mu nie szkodzi!
HEL. Gdy raczysz go podtrzymać, Sire. Bierze mię podziw
Na widok roju znaczków, co nad kartą świata,
Wiedziony myślą wodza, w różne strony lata.
NAP. Moje pszczoły.
HEL. Co będzie, gdy ich lot daleki
Już okrąży świat?
NAP. Wrócą za świat, — do pasieki.

STANISŁAW MIŁASZEWSKI

NA WIDOWNI

Gromy i sielanka—Oświadczenie p. Sławka w sprawie brzeskiej. — O zniesienie ograniczeń, „związanych z rasą". — W Warszawie a w Genewie.— Jak w szekspirowskim dramacie.

JESZCZE nam w uszach dźwięczą słowa przemówienia p. prezesa Rady Ministrów Sławka, wygłoszone dnia 26 stycznia na posiedzeniu sejmowem, w odpowiedzi na wniosek nagły Klubu Narodowego w sprawie nadużyć brzeskich. Słowa zimne i twarde jak krzemień, suche, jak trzask kości druzgotanych, mocne, jak uderzenie pięści:

„Obowiązkiem rządu było zahamować waszą robotę środkami, jakiemi rząd rozporządzał...

I Panowie z lewej, i Panowie z prawej strony opozycji... byli po wielekroć ostrzegani, że mogą nastąpić skutki dla nich osobiście nieprzyjemne. Myśleliście, że to były groźby rzucane na wiatr...

W Brześciu był regulamin więzienny ciężki... i tam, jak w każdem więzieniu,—posłuch musiał być w razie oporu wymuszony siłą. Innych więzień na świecie niema...

Pozwolę sobie na zakończenie dać wyraz nadziei, że w przyszłości rząd nie będzie stawiany wobec konieczności używania środków surowych i bezwzględnych dla osadzenia na miejsce zuchwałej anarchji".

Cokolwiek możnaby rzec o tem oświadczeniu, nikt nie dosłuchałby się w niem napewno najsłabszych chociażby ech idej humanitarnych czy liberalnych. Wrażenie, jakie taka mowa wywrzeć musiała, formułowała prasa obozu „sanacyjnego" w wyrażeniach, przemawiających do wyobraźni. W „Słowie" wileńskiem (nr. 22) pisał poseł z klubu B. B., p. Mackiewicz: „W skrócie żołnierza-szeregowca słowa Sławka brzmiałyby: Milczeć. Jesteście niebezpieczną dla Polski anarchją. Rząd da sobie z wami radę"... Warszawski „sanacyjny" „Kurjer Czerwony" (nr. 22) wtórował trjumfalnie: „Uderzył raz a mocno w opozycję tak, że aż jęknęła"... Zaś lwowskie „sanacyjne" „Słowo Polskie" (nr. 28) uzupełniało: „Oświadczenie premjera Sławka uderzyło w opozycję jakby maczugą"... „Milczeć", „tak, że aż jęknęła", „maczugą"— czuje się odrazu, że przebywa człek nie w atmosferze sielanki, że żyjemy pośród burz i grzmotów, kiedy darmo szukać uczuć tkliwszych, w świecie walki surowej, nieubłaganej, „mocnej ręki", bezwzględnych decyzyj. „Ludziom silnym" obce muszą być jakiekolwiek sentymenty i miękkości. Każde zdanie mowy p. Sławka brzmiało, jak pogróżka, migotało błyskawicami gniewu, dudniało i huczało ponuro gromami oskarżeń i potępień.

Czyż jednak całe życie polityczne Polski współczesnej przesiąknięte jest grozą, bezwzględnością, czy już z wszelką musi się rozstać nadzieją człowiek, któryby, w tych czasach twardych, burzliwych, pragnął „pominąć strefy ulewy i grzmotu, i szukać tylko cienia i pogody"?

Powróćmy myślą na toż samo historyczne posiedzenie sejmowe z dn. 26 stycznia r. b., ale tym razem o kilka godzin wcześniej, przed pamiętnem oświadczeniem p. prezesa Rady Ministrów. Cóż za nastrój idylliczny, słoneczny! Oto p. poseł Jeszke (B. B.) referuje rządowy projekt ustawy „o uchyleniu przepisów wyjątkowych, związanych z pochodzeniem, narodowością, rasą lub religją obywateli Rzeczypospolitej". Poseł Mincberg, żyd, również z klubu B. B., oświadcza uroczyście: „Stoimy przed niezwykle doniosłym aktem na miarę historyczną... Ustawa ta przyczyni się do uzdrowienia stosunków polsko-żydowskich, co wyjdzie na korzyść Rzeczypospolitej i jej obywateli". Rząd tak dalece uważał tę sprawę za najpilniejszą, tak gorączkowo śpieszył się z jej załatwieniem [1]), że nie zdołano nawet opracować projektu starannie pod względem prawniczym, narażając się na słuszne zupełnie zarzuty błędnego sformułowania i powiększania jeszcze istniejącego w naszem ustawodawstwie chaosu. Uzasadnienie wniosku rządowego rozpoczyna p. prezes ministrów Sławek słowami: „Przepisy Konstytucji uchyliły wszelkie ograniczenia obywateli, przyjmując zasadę ich równości wobec prawa". Humanitaryzm, liberalizm, wygnane już, wydawałoby się, huraganem przewrotu gdzieś za dziesiątą granicę, na nowo kwitną tu w szczęśliwej, zacisznej oazie, w dziedzinie, w której reguluje się stosunek władz „sanacyjnych" do ludności żydowskiej. Nawet tak nisko zazwyczaj ceniona, nasza „demo-liberalna" Konstytucja, przy tej okazji przypominana jest przez „sanacyjnego" premjera z szacunkiem, nieomal z namaszczeniem. Nie oczekuje się choćby na od tak dawna zapowiadaną przebudowę ustroju, żeby z nowemi dopiero zasadami zmienionej Konstytucji uzgodnić drobne, drugorzędnych tylko szczegółów dotyczące przepisy istniejącego prawodawstwa. Poczucie prawne pana Sławka i jego współpracowników nie mogłoby znieść ani przez chwilę, ażeby choć w najmniejszych drobiazgach mógł istnieć w Państwie podział na mniej i więcej uprzywilejowane grupy obywateli, ażeby w Polsce sprawiedliwej, „wysanowanej" nie czuł się każdy pod jednakową opieką jednego, równego dla wszystkich i każdego w równym zupełnie stopniu obowiązującego prawa...

Zarzuty konkretne, przytoczone w mowach oraz interpelacjach poselskich, a dotyczące znęcania się nad więźniami brzeskimi, posłami Dębskim, Korfantym, Bagińskim, Popielem i innymi, p. prezes ministrów Sławek potraktował w swojem oświadczeniu dumnem, lekceważącem milczeniem. Krótko i wyniośle ogłosił, iż wszelkie śledztwo w sprawie postępowania oficerów brzeskich jest rzeczą zbędną, ponieważ „regulaminów i przepisów oni nie przekroczyli". Oświadczenie to, jak pisała nazajutrz oficjalna „Gazeta Polska" (nr. 28), „wtłoczyło wszelkie niewczesne skargi w gardło właściwym winowajcom".

A oto znów — pouczające jest takie zestawienie — próbka tonu, jakim w tym samym czasie p. minister spraw zagranicznych Zaleski odpowiadał na Radzie Ligi Narodów w Genewie na memorjał niemieckiego „*Volksbund*'u", uskarżającego się na postępowanie władz polskich oraz działalność bojówek „sanacyjnych" w okresie ostatnich wyborów sejmowych na Górnym Śląsku:

„Zanim poddam te dane badaniu" — mówił p. minister Zaleski — „chciałbym złożyć na wstępie oświadczenie: rząd polski nie zaprzecza, że pewna ilość ubolewania godnych wypadków miała miejsce i, nie czekając na dyskusję w Radzie, przedsięwziął należyte kroki. W ten sposób we wszystkich wypadkach z wyjątkiem 6 — a jest cytowanych wypadków 255 — wdrożone zostały dochodzenia, które częściowo są już ukończone, częściowo jeszcze trwają. W 125 wypadkach sprawcy incydentów zostali wykryci i oddani lub wskazani organom sprawiedliwości. Pozatem

[1]) Projekt wspomniany zgłosił rząd natychmiast po rozpoczęciu prac nowego sejmu, jeszcze dnia 15 grudnia ubiegłego roku.

w 83 wypadkach, przeważnie mniejszego znaczenia, śledztwo nie zostało jeszcze ukończone...

Prokurator Rzplitej wystąpił z urzędu w 28 wypadkach, z których 10 znalazło już swój epilog w wyroku kompetentnych sądów. W innych wypadkach prokurator wystąpi natychmiast, gdy zgłoszone zostaną, zgodnie z obowiązującą procedurą, skargi prywatne... Niemniej surowe sankcje zastosowano do urzędników, którym mogły być uczynione choćby najmniejsze zarzuty. 17 z nich musiało stanąć przed komisją dyscyplinarną, 9 otrzymało surową naganę"...

W dzisiejszem życiu politycznem Polski, jak w szekspirowskim dramacie, sceny o nastroju groźnym, gwałtownym, przeplatają się nawzajem ze scenami pełnemi łagodności, słodyczy, ukojenia. Czy tak samo jak tam, owe sceny pogodne, kojące, nie uwydatniają tylko jeszcze wyraźniej głębokiego tragizmu całości? Nietrudno zastanowić się nad sensem ukazanych kontrastów, nietrudno zrozumieć ich znaczenie.

JAN REMBIELIŃSKI

AKADEMICKA MYŚL NARODOWA

Życie młodzieży akademickiej w Polsce jest minjaturą życia całej ludności państwa polskiego, życie polskiej młodzieży akademickiej minjaturą życia całego współczesnego narodu polskiego. Ożywiają je te same prądy i dążenia, jakie nurtują w starszem pokoleniu. Są one niekiedy ich refleksem, niekiedy je wyprzedzają.

Najsilniej uzewnętrzniają się w życiu akademickiem kierunki polityczne. Są one przeważnie odpowiednikami pewnych ugropowań starszego pokolenia. Jest jednak rzeczą charakterystyczną, że wśród młodzieży znajdują oddźwięk przedewszystkiem skrajne kierunki ideowe. Nacjonalizm (pod różnemi postaciami) i socjalizm (także w różnych wydaniach) są dwoma potężnemi prądami ideowemi, dwoma hasłami, około których skupia się dzisiaj młodzież akademicka, z bezwzględną przewagą nacjonalizmu. Od niemal pięciu lat pojawił się na akademickiem horyzoncie politycznym trzeci sposób myślenia, a mianowicie oportunizm. Jest to objaw zatrważający, symptomat pewnego procesu zdeprawowania społeczeństwa, czemu należałoby skutecznie przeciwdziałać.

Dziś zatem na polskich wyższych uczelniach toczy się zacięta walka ideowa pod hasłem:

Nacjonalizm, socjalizm czy oportunizm. Kuźnia ideowa pracuje. Walka ta jest zarazem walką o władzę w Rzeczypospolitej Akademickiej, w tym niemałym i skomplikowanym mechanizmie kółek i kółeczek akademickich. Organizacje ideowo-wychowawcze dążą przez opinję do władzy i przez władzę do opinji.

Akademicki odcinek walki o idee i walki o władzę ma to do siebie, że jest terenem stale zmieniającym się, o ile chodzi o składające go ludzkie pogotowie. Ludzie zmieniają się, i to szybciej, niż na szerokiej arenie politycznej, ale walka trwa nieprzerwanie. To pracują akademicka myśl narodowa i akademicka myśl międzynarodowa oraz psychoza akademickiego oportunizmu i bezideowości. Są to trzy główne siły dynamiczne, stale się ścierające, ze zmiennem szczęściem. Obecnie wzmożenie się oportunizmu w starszem społeczeństwie i gwałtowna socjalizacja życia społecznego w Polsce, wywołały wśród młodzieży akademickiej silną reakcję i dały od kilku lat bezwzględną przewagę młodzieży narodowej.

Akademicka myśl narodowa, to młody i nowożytny, polski i katolicki nacjonalizm. Posiada on szereg form organizacyjnych, z których najsilniejszą i najbardziej ortodoksyjną jest Młodzież Wszechpolska, której ideologja pokrywa się z ideologją Obozu Wielkiej Polski i wogóle obozu narodowego. Młodzież Wszechpolska, podobnie jak Młodzież Ludowa, Odrodzenie, Młodzież Socjalistyczna, Komunistyczna, „Demokratyczna", czy t. zw. Myśl Mocarstwowa, jest rodzajem „stronnictwa" akademickiego. Toczy walkę o swe ideały na różnych odcinkach. Do najważniejszych należą:

1) Wybory na Zjazd ogólnoakademicki.

2) Wybory w Bratnich Pomocach i na terenie Kół prowincjonalnych.

3) Walka o wpływy na terenie akademickim międzynarodowym.

Niezależnie od tych zmagań się na terenie politycznym wewnętrznym, zewnętrznym i gospodarczym (samopomocowym) akademicka myśl narodowa jest czynnikiem twórczym na polu organizacji pracy naukowej wśród polskiej młodzieży akademickiej. Jest to praca żmudna, niewidoczna, a niesłychanie doniosła wobec zalewu polskich wyższych uczelni przez żywioły niepolskie. Tu walka toczy się na dwa fronty: na seminarjach i w kołach naukowych. Koła Naukowe Polskiej Młodzieży Akademickiej są zrzeszone w Ogólnopolski Związek Akademickich Kół Naukowych, zbudowany i utrzymywany wysiłkiem młodzieży narodowej, przestrzegającej jednak stale swej bezpartyjności. Koła Naukowe mają za zadanie:

1) ułatwianie swym członkom pracy naukowej,

2) ułatwianie swym członkom zawodowego kształcenia się.

3) pielęgnowanie życia koleżeńskiego wśród członków.

Związek reprezentuje akademicki ruch naukowy w Polsce wobec władz i zagranicy, oraz koordynuje życie naukowe P. M. A. Do Ogólnopolskiego Związku Akademickich Kół Naukowych należy około 100 Kół, które na terenie każdej wyższej uczelni wyłaniają wspólną reprezentację pod nazwą Delegacji Uczelnianej. Obecnie istnieje 9 takich Delegacyj: trzy w Warszawie, dwie we Lwowie, po jednej w Krakowie, Poznaniu, Wilnie i Lublinie. Koła pokrewne wyłaniają wspólną reprezentację pod nazwą: Wydziału. Obecnie istnieje 8 takich Wydziałów: 1) kół prawniczych, 2) kół rolniczych, 3) kół technicznych, 4) kół farmaceutycznych, 5) kół ekonomicznych i handlowych, 6) kół leśniczych, 7) kół chemicznych, 8) kół neofilologicznych.

Przeciwnicy obozu narodowego prowadzą zaciętą walkę z Ogólnopolskim Związkiem Akademickich Kół Naukowych, starając się go podważyć od dołu, próbując nakłonić niektóre Koła Naukowe do wystąpienia z OZAKN-u, lub usiłując (bezskutecznie) oderwać od OZAKN-u to jakąś Delegację Uczelnianą to jakiś Wydział Kół Naukowych pewnego typu. Tak utrzymuje się dotychczas osobny Związek Kół Polonistów, Związek Kół Historyków itp., jakkolwiek już szereg Kół Polonistów, Historyków itd. wstąpiło również do OZAKN-u,

który jednakże nie grupuje ich w nowe wydziały, póki istnieją tamte autonomiczne Związki specjalne.

W tych, powyżej nakreślonych ramach organizacyjnych, rozwija się polski akademicki ruch naukowy, który zerwał ze starem pojmowaniem nauki wyłącznie dla nauki, lecz dba o rozwój nauki i wiedzy dla dobra Narodu i państwa polskiego. Prąd teleologiczny wyparł dawny kierunek abstrakcyjny. Daje się to odczuć przedewszystkiem w dziedzinie nauk humanistycznych, gdzie akademicka myśl narodowa znajduje najwięcej pola do pracy.

Wymienię przykładowo kilka takich dyscyplin:

A. Prawo. Dziś teleologiczne nastawienie wiedzy prawniczej uwypukla się bardzo wyraźnie. Nauka prawa nie ma być jedynie środkiem gimastyki umysłowej, ale ma służyć potrzebom danego Narodu, ma formułować w prawidła to, co w przekonaniu prawnem społeczeństwa stało się prawem i ma tworzyć nowe i ulepszać stare formy ustrojowe, aby zapewnić Narodowi *maximum* jego politycznego, kulturalnego i gospodarczego rozwoju.

B. Ekonomja Narodowa. Tu zerwano z doktrynalnem podejściem do przedmiotu, z klasycznym podziałem szkół na liberalną i socjalistyczną. Nacjonalizm jest i pragnie być czemś więcej niż doktryną. Nie jest jednak eklektycyzmem. Dla nacjonalisty miarą wartości jest interes Narodu, a dobro Narodu jest dobrem w stosunku do wszystkich innych nadrzędnem.

C. Kultura Narodowa. Dzieje Narodu polskiego, piśmiennictwo polskie, nasze językoznawstwo, to wszystko dziedziny wiedzy, które winny być przepojone duchem narodowym. Jakąż wartość może dla narodowca przedstawiać dzieło, którego forma literacka i ujęcie jest artystyczne, a treść zawiera niezdrowe idee? Owszem im bardziej forma takiego utworu będzie artystyczna, tem bardziej utwór jest niebezpieczny i należy go bez względu na walory formy odrzucić.

D. Nauki techniczne. To już nie dziedzina panowania wolnej myśli humanistycznej. Żdawałoby się, że nie można tchnąć ducha narodowego w martwe formuły matematyczne i w suche wzory chemiczne, w prawa przyrody formułowane przez uczonych. Tak, — ale indywidualna praca każdego z nich i ich zbiorowy wysiłek, winien być skierowany do jednego celu, nastawiony pod jednym kątem widzenia, a mianowicie: postępu. Postępu ludzkości, przyczem jednakże nie wolno zapominać, że może się on dokonywać jedynie przez postęp poszczególnych narodów. Tak nastawiona była i jest niemiecka wiedza techniczna, głównie zresztą dla celów wojennych. Polska wiedza techniczna powinna również nie zapominać o tem, że obowiązana jest zapewnić państwu środki obrony, ale także i możliwość pokojowego rozwoju stosunków.

Ogólnopolski Związek Akademickich Kół Naukowych usiłuje w tym kierunku (pod A. B. C. D. omówionym) nastawić zbiorowy wysiłek ogółu P. M. A. Celem koordynowania indywidualnych prac akademików-naukowców, winny władze OZAKN-u powołać do życia rodzaj Instytutu Młodych, który byłby wyrazem akademickiej myśli narodowej na polu twórczej pracy naukowej, pod nazwą: Instytut Naukowy Polskiej Młodzieży Akademickiej.

Kraków JULJUSZ SAS WISŁOCKI

PODRĘCZNIK Z POGRANICZA

W RÓŻNYCH naszych czasopismach pedagogicznych (zwłaszcza „sanacyjnych") można wiele wyczytać o pacyfizmie, propagowanym przez szkołę, między innemi na terenie Niemiec współczesnych. Różne międzynarodowe kongresy nauczycielskie, organizowane przez pedagogów niemieckich, usiłują również wmówić w świat, jakoby wychowanie w szkołach niemieckich odbywało się pod hasłem „porozumienia narodów", a szczytne hasła pacyfistyczne bywają importowane na grunt naszej szkoły właśnie przez naszą zachodnią granicę. Że w istocie nauka i pedagogika niemiecka, a zwłaszcza pruska, rozwijają się w nastroju nienawiści dla Polski i w nastroju odwetu zbrojnego, to wykazano niejednokrotnie w naszej prasie narodowej.

Próbka właściwego ducha szkoły niemieckiej na naszem pograniczu wpadła mi niedawno w rękę. Jest to podręcznik krajoznawstwa (*Heimatkunde*), czy jeśli kto woli geografji regjonalnej dla nowej prowincji niemieckiej: Marchja Graniczna, Poznańskie — Prusy Zachodnie, przeznaczony, jak się zdaje, dla szkół średnich, a wydany przez znaną firmę F. Hirta we Wrocławiu [1]). Sądzę, że bliższe przyjrzenie się tej książce będzie interesujące dla polskiego czytelnika.

Jak wiadomo, w r. 1922 Prusy zdecydowały się utworzyć z ziem, pozostałych z dwóch dawnych prowincyj: Poznańskiego i Prus Zachodnich jedną małą prowincję, tak zw. Marchję Graniczną, ze stolicą w Pile i z ludnością około 300,000. Dla szkół w tej prowincji, powstałej na gruzach dawnego zaboru, odzyskanego przez nas w Traktacie Wersalskim, przeznaczony jest podręcznik, o którym chcę pisać.

Od pierwszych słów wstępu, w którym autor wspomina, jak przed 20 laty po raz pierwszy zadziwił się pięknością krajobrazu, przybywszy „*in die so sehr verschrieene Polackei*", aż do ostatniego rozdziału, poświęconego opisowi ważniejszych miejscowości prowincji — cała książka dyszy nienawiścią do wszystkiego, co polskie. Ze stanowiska pedagogicznego, a raczej ze stanowiska wychowania państwowego książka ma dwie tendencje: wykazać, że ziemie b. zaboru pruskiego są krajem odwiecznie niemieckim, gdzie Polacy są przybyszami, całą swoją pomyślność zawdzięczającymi Niemcom, oraz wykazać, że stan obecny, powstały po Traktacie Wersalskim, jest okrucieństwem i nonsensem, który nie da się żadną miarą utrzymać.

Najbardziej charakterystyczny dla ducha książki jest rozdział, p. t. „*Kulturbild des Landes*". Chcąc udowodnić, że obraz kulturalny kraju od zamierzchłych wieków ma oblicze germańskie, autor już w okresie neolitycznym stwierdza na ziemiach „marchji" istnienie szczepu indogermańskiego (co zresztą, jak wiadomo, przy terminologji niemieckiej nie wyłącza słowiańskiego jego pochodzenia). W epoce bronzowej zjawia się na tych ziemiach kultura łużycka; autor tej książki szkolnej znajduje miejsce na polemikę z prof. Kostrzewskim, który udowodnił, że ci Łużyczanie byli Sło-

[1]) *Landeskunde des Grenzmark Posen-Westpreussen* hsg. von dr. H. J. Schmitz unter Mitarbeit von R. Frase. Breslau, Ferdinand Hirt, 1929, 8-o str. 192 i 64 fotografje.

wianami. Autor upiera się, że Słowianie udali się w te okolice dopiero około VII i VIII wieku po Chrystusie, wypierając germańskich Burgundów. Malowniczo opisuje autor potem pierwszą kolonizację niemiecką w XIII w., podkreślając wartości kulturalne, wnoszone przez osadników niemieckich, z sympatją wspomina rządy Kazimierza Wielkiego, który popierał kolonizację niemiecką, z bólem mówi o połączeniu Litwy z Polską, które stało się fatalne (*wurde zum Verhängnis*) dla Zakonu.

W XV wieku—zdaniem autora—„obudził się nacjonalizm polski“:

„Polacy zapomnieli o dobrodziejstwach, które im przyniosła kultura niemiecka. Nienawiść narodowa, podniecana przez niesumiennych podżegaczy, podsycana (*genährt*) przez królów jagiellońskich i zazdrość z powodu dobrobytu niemieckiego, doprowadziły do wypierania Niemców na każdym kroku“ (str. 128).

Napróżno broniły się klasztory niemieckie, napróżno papież wdawał się w te sprawę: „także w korytarzu Wisły wypierano niemczyznę“ (str. 128).

Aż przyszły wreszcie czasy rozbiorów Polski. Znane są powody, które wywołały rozbiory:

„Były niemi: zupełna anarchja, rozluźnienie wszelkiego porządku w państwie polskiem, które zeszło na republikę szlachecką z królem na czele, niebezpieczeństwo na granicach tego gniazda buntu i spiskowców, całkowita nietolerancja wobec dyssydentów, t. j. ewangelików i niekatolików oraz ucisk mniejszości narodowych w tem państwie narodowościowem“ (str. 127).

Oto jak ma sobie przedstawiać uczeń szkoły na pograniczu przyczyny rozbiorów Polski!

„Nie napróżno zmusiła koalicja Polskę do „traktatu ochrony mniejszości“. Przedstawiciele koalicji znali niejedno z historji Polski, znali polską nietolerancję“ (*ibid.*)

Następuje opis dobrodziejstw, które spadły na Polskę pod panowaniem pruskiem i westchnienie żalu, że niestety praca kulturalna państwa niemieckiego (czytaj: polityka germanizacyjna) nie była konsekwentną. To też niemczyzna od połowy XIX w. poczęła tracić grunt pod nogami. Nastąpiły fatalne ze stanowiska niemieckiego błędy po rozejmie w r. 1918. Polaków dopuszczono do rad robotniczych i żołnierskich, skutkiem czego wzięli władzę w ręce i wywołali powstanie. Napróżno walczył *Grenzschutz* w obronie „ziemi ojczystej“. Następuje potworność „korytarza nad Wisłą“ (*Weichselkorridor*). Zabiegi dyplomacji polskiej nad uzyskaniem dostępu do morza przedstawione są w ustępie, opartym częściowo na pamiętnikach Romana Dmowskiego, „*des eigentlichen Schöpfers des Polnischen Staates*“ (właściwego twórcy państwa polskiego, str. 130).

Jak widzimy, ten tendencyjny zresztą niemiecki podręcznik we właściwem świetle przedstawia groźną rolę, odegraną przez Romana Dmowskiego wobec Niemiec, oraz decydującą jego rolę przy powstaniu Państwa Polskiego. Czy nie jest to jednak tragiczne, że podręcznik niemiecki uznaje niezbity fakt historyczny, o którym głucho milczą sterroryzowani autorowie podręczników polskich?

Bardzo ciekawy jest rozdział „*das Geistesleben*“, z którego poznajemy niesłychanie wytężone wysiłki całych Prus nad ożywieniem życia umysłowego prowincji granicznej. Najlepsze siły naukowe i artystyczne śpieszą z całych Niemiec dla podniesienia ducha na Kresach wschodnich. Ciekawa jest również żywa działalność towarzystwa „*Grenzmärkische Gesellschaft zur Erforschung und Pflege der Heimat*“ w dziedzinie badania historji rodów pomorskich, pochodzenia nazwisk i t. p. Jakże dalecy my jesteśmy od takiej działalności, np. w powiatach nadgranicznych Pomorza.

Streszczam się, podręcznik krajoznawstwa Schmitza i Frasego, przeznaczony dla dzieci szkolnych (także polskich!) na naszem pograniczu, jest podręcznikiem tendencyjnym, pełnym nienawiści do wszystkiego, co polskie. Przeczytanie go doradzamy każdemu, kto jeszcze ciągle łudzi się, że szkolnictwo niemieckie ogarnięte jest pacyfistyczną ideą „porozumienia narodów“.

T. JÓZEFOWICZ

NAUKA I LITERATURA

RUCH WYDAWNICZY

Księgarnia W. Zukerkandla w Złoczowie od pewnego czasu wydaje w swojej dawnej „Bibljotece Powszechnej“ charakterystyki literackie pisarzów polskich. Obecnie wyszły w tej serji następujące prace: 1) „Stefan Żeromski Życie i twórczość“ Autorem monografji (576 stron) jest Władysław Pobóg Malinowski 2) Wydanie nowe dawniejszego szkicu Adama Stodora o Janie Kasprowiczu (s. 114), 3) Jan Kochanowski w opracowaniu Ant. Mazanowskiego (s. 116), 4) Aleksander Fredro Mikołaja Mazanowskiego, oraz 5) Józef Ignacy Kraszewski w opracowaniu Mik. Mazanowskiego (s. 210). Trzy ostatnie monografje w nowem wydaniu uzupełnionem.

Oprócz tego w tejże Bibljotece wyszły K. Ujejskiego „Poemata i urywki,“ oraz Schillera „Dymitr Samozwaniec“ w przekładzie A. Zassowskiego.

„Bibljoteka Powszechna“ liczy obecnie ponad 1200 tomików.

*

Uważamy za rzecz bardzo cenną wszelkie przyczynki do dziejów politycznych Polski przedwojennej, trudnych do poznania, bo życie polityczne istniało wówczas przeważnie tylko w podziemiach. Dlatego notujemy skwapliwie ukazanie się dwuch broszur, omawiających fragmenty z rozwoju narodowego ruchu robotniczego w pierwszem dziesięcioleciu obecnego stulecia. Są to: „Związek im. Jana Kilińskiego. (Narodowa Młodzież Robotnicza)“ 1901—1906, rzecz napisana przez Mieczysława Bujalskiego i „Zarys dziejów Narodowego Związku Robotniczego“, (N. Z. R.) — przez inż. Stanisława Roszkowskiego. Obydwie powyżej wymienione organizacje powstały z inicjatywy Ligi Narodowej i działały w duchu jej programu i wskazań do r. 1908. W tym czasie Narodowy Związek Robotniczy zbliżył się do ruchu, który później, w czasie wojny, nosił nazwę aktywistycznego i zerwał z Demokracją Narodową. Później z powyżej omawianych organizacyj okresu przedwojennego powstała Narodowa Partja Robotnicza (N. P. R.), mająca dziś swych przedstawicieli w Sejmie. (S. K.)

*

„Księgarnia Polska“ Tow. Polskiej Macierzy Szkolnej wydała książeczkę p. Adama Chętnika p. t. „Mieczysław Brzeziński. Jego życie i praca“. Rzecz ta jest przeznaczona dla najszerszych sfer, dla tych czytelników przedewszystkiem, dla których wydawał „Zorzę“ i napisał kilkadziesiąt popularnych książeczek Mieczysław Brzeziński. Przeczyta ją jednak z pożytkiem każdy, kto chce się zapoznać z działalnością oświatową ostatniego ćwierćwiecza wieku XIX i okresu przedwojennego wieku XX. Kazimierz Prószyński, Mieczysław Brzeziński i Jan Ludwik Popławski, byli prawdziwymi „nauczycielami ludu polskiego“ w tym okresie. Trzeba, by pokolenia młodsze zainteresowały się temi postaciami i ich pracą. (S. K.)

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

W listopadzie roku zeszłego w Niemczech wielkie zwycięztwo odniosło stronnictwo narodowo-socjalistyczne Adolfa Hitlera. Jest tedy rzeczą ciekawą, a dla zajmujących się polityką międzynarodową, wprost konieczną, zapoznanie się z tem stronnictwem, z jego programem i jego przywódcami. Niezłym przewodnikiem po „ludziach“ jest książka pod tyt. „*Nationalisten*“, napisana przez autora, który się kryje pod pseudonimem Junius Alter (wydawca K. F. Koehler w Lipsku). Zawiera ona szereg sylwetek wybitniejszych działaczy obozu prawicowego w Niemczech. Przed oczami czytelnika przesuwają się kolejno—Heinrich Closs, W. Kapp, A. von Graefe, R. Wulle, hr. Reventlow, H. Ehrhardt, przy-

wódca Zakonu Młodoniemieckiego, Artur Mahraun, przywódcy *Stahlhelm*, u Seldte i Duesterberg, Hitler, przywódca niemiecko-narodowych i magnat prasowy Hugenberg, gen. Ludendorf, bar. v. d. Goltz, wreszcie trzej młodzi synowie cesarza Wilhelma, Eitel Friedrich, August Wilhelm i Oskar, nazwani przez autora — *die Stahlhelmprinzem*. Rzecz jest pisana żywo, z talentem i przynosi całą masę ciekawych informacyj o osobach, na tle rozwoju politycznego Niemiec powojennych i z uwzględnieniem głównych zagadnień politycznych doby współczesnej, zasługuje przeto na przeczytanie. (S. K.)

*

Pod względem form zewnętrznych nie różni się życie polityczne Francji współczesnej od życia innych krajów kontynentu. Formy te pochodzą z Anglji, pod niemi kryje się wszakże treść bardzo różna, zależnie od struktury i tradycyj historycznych każdego z narodów kontynentalnych. Niejeden promień światła rzuca na wewnętrzne stosunki francuskie książka *„Tableau des partis en France“*, której autorem jest znany pisarz p. André Siegfried, (Wydawca B. Grasset). Szczególnie ciekawe jest to, co czytamy w pierwszej części tej książki o strukturze gospodarczej i społecznej Francji, gdyż te rzeczy tłumaczą wiele zjawisk życia politycznego. Co do tych rozdziałów, które traktują o zagadnieniach politycznych, mielibyśmy do zarzucenia autorowi, że zbyt wiele uwagi poświęca czynnikom przemijającym, pomija natomiast działanie wielkich prądów dziejowych. Istota ewolucji politycznej Francji współczesnej wyraża się bowiem nie w walkach między licznemi stronnictwami, żyjącemi ideologją Wielkiej Rewolucji francuskiej, lecz w konflikcie między obrońcami tej ideologji, a prądami nowemi, zwracającemi się przeciwko temu, co pozostawiła w umysłowości francuskiej myśl drugiej połowy w. XVIII. Mimo to, znajdzie czytelnik w książce p. Siegfrieda wytłumaczenie niejednego zjawiska z dziedziny walk partyjnych i politycznych francuskich. (S. K.)

*

P. Paul Gaultier, który stoi na czele *„Revue Bleue“*, nie należy do młodej generacji. Pozatem, o ile mi wiadomo, dzieci nie posiada, gdyż dopiero niedawno ożenił się. Tem może trzeba tłumaczyć jego wyjątkową surowość dla tegoczesnej młodzieży w ciekawem zresztą studjum *„Les moeurs du temps“ (Librairie académique Perrin)*. Rozdział omawiający „wychowanie rodziców przez dzieci“ jest niezawodnie zbyt kategorycznem potępieniem tych ostatnich. Ogólny bowiem przewrót powojenny musiał się odbić i na ich umysłowości i na ich sposobie myślenia. Młodzież ta inaczej patrzy i inaczej świat sądzi, ale może nie jest ani gorszą ani lepszą od dawnych generacyj. Pozatem jednak książka ta przepełniona jest interesującemi spostrzeżeniami. Autor zresztą, stając w obronie kultury, staje równocześnie w obronie wysokiej moralności i idealizmu, którego rzeczywiście brak się obecnie daje wyczuwać i temu można przypisywać pewnego rodzaju rozgoryczenie p. Gaultier względem współczesnej młodzieży francuskiej. (I. B.)

*

Z początkiem lutego ma ukazać się we Francji nowe wydawnictwo, poświęcone popularyzacji literatury zagranicznej. Nosić ono będzie tytuł *„Les romanciers étrangers contemporains“*. Wydawnictwem tem ma kierować p. Georges Charensol. Każdy z tomów, poprzedzony przedmową, napisaną przez jednego z francuskich pisarzy, będzie zawierał 12 nowel przetłumaczonych z obcego języka. Pierwszy z nich ma zostać poświęcony literatom amerykańskim. Pomiędzy zaś współpracownikami, którzy nad nim pracowali, trzeba zaliczyć w pierwszej linji p. André Maurois. Autor *„La vie de Shelley“* powraca właśnie z Ameryki, gdzie miał szereg odczytów na Uniwersytecie Princetown, a pomiędzy najpilniejszemi słuchaczkami żonę sławnego pułkownika Lindbergha. (I. B.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

WYSTAWY

W SALONIE Cz. Garlińskiego wystąpiło z pokazem swych prac zrzeszenie lwowskich art.-plastyków pod nazwą *„artes“*. Naiwnem byłoby mniemanie, iż stowarzyszenia artystyczne (tak liczne w czasach ostatnich) powstają jedynie na podstawie wspólnych upodobań i przekonań artystycznych członków zrzeszenia. Poza pobudkami natury organizacyjno-praktycznej, działa częstokroć poprostu przypadek: oto naprzykład los życiowy umieścił garstkę art.-plastyków w jednem i tem samem mieście. Pozatem mogą wchodzić w grę wspólne lata szkolne (np. Bractwo św. Łukasza) wiek i tak dalej. Lecz jakiekolwiekby nie były powody łączenia się artystów w grupy, dla nas najważniejsze jes jedno: wysoki poziom wszystkich zrzeszających się. Tylko na takich zasadach oparta społeczność artystyczna może wywierać wpływ jako ciało zbiorowe i współdziałać w większej, lub mniejszej mierze w kształtowaniu się oblicza sztuki. Ważniejszą jest wspólność poziomu, nie programu. Niewybredność stowarzyszenia w dobieraniu członków sprawia, iż jego występy w swym rezultacie ostatecznym niczem się nie różnią od zwykłych ogólnych wystaw rozmaitych malarzy.

W historji naszej kultury „Sztuka“ krakowska odegrała tak wielką rolę, gdyż była czemś więcej, niż p. Mehoffer *plus* p. Stanisławski, *plus* p. Malczewski i t. d. Natomiast *„Pro Arte“* to tylko Kędzierski, no i może jeszcze z jedna osoba.

Rozpisałem się o tem dlatego, bo powyższe trzeba mieć na uwadze i przy zwiedzaniu wystawy *„artesu“*. Mimo pozornie jednolitej, często powierzchownej modernizacji, odrazu się wyczuwa, gdzie są ci, co naprawdę mają coś do powiedzenia, a gdzie zwyczajni blagierzy. Do pierwszych zaliczamy przedewszystkiem grafika Tysowicza, wśród drugich honorowe miejsce należy się p. Lille. Używając jego własnego wyrażenia: „równie jak niemuzykalni, istnieją i nieplastyczni“, można powiedzieć, iż jest on wyraźnie nieplastyczny. A pozatem dosyć tępy. I rzecz dziwna: ten właśnie jegomość zamiast siedzieć cicho jak mysz pod miotłą, zdaje się wodzić rej wśród swych, o wiele od siebie zdolniejszych, kolegów. Oszałamia ich swoją spleśniałą frazeologją ze skutkiem aż nazbyt często widocznym. Napisał wstęp do katalogu, niejako wyznanie wiary zespołu *„artes“*. Po dość jednostronnym opisie, jak się miała sprawa dawniej z obrazem i widzem, przechodzi do dni dzisiejszych: „...to wszystko (czy aby wszystko? przyp.) skończyło się dzisiaj, z naturą obchodzi się dzisiaj malarz jak z materjałem, o którego sposobie użycia decyduje nie ona sama t. j. wygląd jej rzeczywisty, tylko prawa obrazu“. Rzeczywiście, rewelacyjne odkrycie! Szkoda tylko, że nie p. Lille je zrobił. Biedaczek sam to spostrzegł, bo dodaje: „takie traktowanie natury tylko jako środka pomocniczego nie jest bynajmniej wynalazkiem sztuki czasów ostatnich“. Tylko dawniej były „pozory“ a teraz „znikły“. Dziś „jabłko jest formą kulistą, którą można powiększyć, zmniejszyć, spłaszczyć i t. d., można ją namalować białą i zieloną, szarą i żółtą. Pozatem nie kryje ona w sobie żadnych wartości metafizycznych...“ Można, p Lille, można; pozatem można jeszcze np. gruchnąć niem kogoś w łeb, ale nie zawsze ma to związek ze sztuką. (W. P.)

P. S. Poza uwagami powyższemi na temat niezupełnie zdrowej atmosfery „artesu“, muszę zaznaczyć: obraz olejny R. Sielskiego „motyw z nad morza“ (dobrze zorganizowany kompozycyjnie kompleks form) i grafika L. Tysowicza — to dzieła utalentowanych artystów.

*

Ostatnia wystawa w Zachęcie przynosi nam niespodziankę — zbiór akwarel K. Brandla. Są to pejzaże, zapewne notatki z podróży, lub wakacyj. Dlatego, jak sądzę, wybór padł na technikę farb wodnych, najodpowiedniejszą w danym wypadku. Była może i przyczyna głębsza. Akwarela, pełna najbardziej zwiewnych możliwości, delikatna, nie posiadająca materjalnych właściwości oleju, staje się dla Brandla odpowiednikiem tak umiłowanej w grafice suchej igły. Dostrzegamy jej echo w postaci cienkich, urywanych i nerwowych kresek akwarelowych, pendzlem.

A tematy? Nic „malowniczego“, jak to się mówi. Kształty nikłe i ubożuchne, prawie pusto na prostokątach obrazów. Więcej w nich Brandla, niż jakichkolwiek innych rzeczy. I chociaż świat odtwarzany bezpośrednio, w bezpretensjonalnej impresji, jest tu tak znikomy tematowo, pozwala się zupełnie wyraźnie określić i nawet zróżniczkować. W przeciwieństwie do np. wybitnie dramatycznych kompozycyj pejzażowych Jamontta, szkice-krajobrazy Brandla posiadają ton wyraźnie liryczny. Tylko gdzieniegdzie zaznaczone dobitniej kształty usypisk, wykrotów, urwisk, splątanej gęstwy w koronach drzew zezwalają na domysł, że artysta potrafi również przemawiać inaczej.

Brandel nie zważa na czas, w którym dane mu zostało żyć i tworzyć. Nie dlatego, aby zamykał oczy na to, co się wokół dzieje. Nie, utrudzony jest wpatrywaniem się w siebie, Nie wychodzi, jak inni na spotkanie widza, by wieść go w gościnne progi swego domostwa. Musimy dobijać się do drzwi, które otwarte zostaną tylko dla przyjaciół. (W. P.)

*

Polskie Tow. Artystyczne (Marszałkowska 69) zorganizowało u siebie wystawę prac Tadeusza Cieślewskiego ojca. Wystawa potrwa do dnia 21. II. 1931 r.

DYSKUSJA

JESZCZE O WYMAWIANIU [1])

NA INNE kwestje, które potrącił p. Machalski, nie chcę odpowiadać, ponieważ każda wymagałaby przynajmniej długiego rozdziału. Jeżeli jednak p. Machalski uważa, że wymawiając wyraz „buda" i wyraz „jaskółka" odczuwa pewną różnicę w brzmieniu *u* i *ó*, to powinien pamiętać, że ta różnica wynika nie z różnicy między zasadniczemi brzmieniami tej samogłoski, tylko z różnicy w nagłosie spółgłoskowym. Niech tylko porówna własną wymowę w wyrazach: „jaskółka" i „kukułka" (*cucullus*), a różnicy nie znajdzie żadnej. I skoro go tak zaciekawiła ziemia rzeszowska, to mu powiem, że chłopi w powiecie przeworskim i łańcuckim wymawiają nie „kukułka", tylko „kukółka", tak wielki wpływ ma nagłos spółgłoskowy *k* na ukształtowanie samogłoskowego brzmienia. Spółgłoski wargowe, zębowe, podniebienne, płynne zabarwiają różnie, jako nagłos, swoje samogłoski. I ta rzecz już jest w gramatykach germańskich i romańskich wcale gruntownie opracowana. Zależy to zresztą od miejsca pochodzenia samego p. Machalskiego, bo wiadomo, że każdy człowiek wnosi w artykulację pewne nawyczki wygłaszania ze swoich stron rodzinnych. Artykułuje się zaś w rozmaitych częściach jamy ustnej: są artykulacje gardłowe (ś. p. prof. Baudouin de Courtenay mawiał, że ta artykulacja jest najstosowniejsza dla ludów militarystycznych); są artykulacje, dokonywane przeważnie w połowie jamy ustnej (Francuzi nazywają je palatalnemi) i są inne, formowane na samym przodzie jamy ustnej. Zabarwianie samogłosek przez spółgłoski tak nagłosowe, jak pogłosowe, a nawet wpływanie spółgłosek na całkowitą zmianę dźwięku i to nietylko w bezpośredniem następstwie, ale i odbitkowo w poprzedzającej zgłosce, jest znane w lingwistyce i opracowane dla wielu języków, od starogreckiego począwszy, że wspomnę tylko o jotacyzmie. Także stwierdzenie, że p. Machalski czuje różnicę w brzmieniu końcowej spółgłoski przy wymawianiu wyrazów „grad" i „grat", ma swój ustęp w lingwistyce. Jest to apercepcja wzrokowa z martwej litery, różna od apercepcji słuchowej z żywego, wymawianego słowa, kwestja opracowana przedewszystkiem w językach romańskich: francuskim, prowansalskim, friaulskim i engadyńskim.

Wracam do uwag historycznych na temat wymowy w polskim języku książkowym. Od połączenia się z Litwą Państwo Polskie, czy Rzeczpospolita federacyjna, była, w dwóch trzecich obszaru, ruska. Jeżeli Rusini, czy zruszczeni Litwini przyjęli język polski, to musieli wnieść w tę polszczyznę całe mnóstwo swoich nawyczek artykulacyjnych. To jest rzecz naturalna. To się odbywało nietylko w Polsce. Przecież dziś jeszcze dialekt lombardzki i piemoncki wskazuje wyraźnie, że przed dwoma tysiącami lat przyjęli tam łacinę nie Italikowie, tylko Gallowie, a na Sycylji Grecy i Sykule. Toskańskie *„inferno"* brzmi na Sycylji *„mpero"*. Przecież akwitańskie podłoże w południowej Francji utworzyło z łaciny język prowansalski, a celtyckie—francuski. Przecież wymowa niemieckiego języka na słowiańskich ziemiach zgermanizowanych jest zupełnie odmienna od wymawiania szwajcarskiego, bawarskiego, czy nadreńskiego i dała całą mozaikę wygłaszania, zależną od plemion germanizujących i germanizowanych. Byłoby rzeczą wprost nie do uwierzenia i sprzeczną z naturą, gdyby w Polsce spolonizowanie szlachty na obszarze dwukrotnie a czasem prawie trzykrotnie większym, niż etnograficzny, nie przyniosło żadnych zmian w języku. Wszak chłopi rumuńscy nad Prutem mówią *„swantului Duch"*, gdy w Siedmiogrodzie *„santului Spirit"*, taki wpływ na Multany i Wołoszczyznę wywarła słowiańszczyzna, z którą się stykali, gdy Siedmiogrodzianie byli od tego wpływu wolni.

Rozszerzeniu się zruszczonej wymowy w polskim języku pomogła walnie Unja Lubelska. Stworzyła bowiem dwa sfederowane państwa: Litwę o podłożu białoruskiem i Koronę polsko-ruską. W tej federacji nie było państwa etnograficznie polskiego, bo Kazimierzowska Polska została spojona z Wołyniem, Podolem i Ukrainą. Nie było więc w Rzeczypospolitej odrębnego organizmu państwowego, któryby był wolny od wpływów ruszczyzny. A że Ruś południowa i Litwa były co do obszaru znacznie większe, niż dawna rdzenna Polska, że magnaci byli tam bogatsi, a karmazyni liczniejsi, że myśl państwowa i cały interes polityczny skupiły się przez kilkaset lat na tych wschodnich ziemiach, cóż w tem dziwnego, że i szlachta z okolic etnograficznie polskich uległa temu wpływowi i upodobniła się do większości, od której nie była wyodrębniona przez osobny ustrój państwowy. Byłoby zjawiskiem dziwnem, gdyby ta olbrzymia, spolonizowana w swojej szlachcie Ruś, nie była w polszczyźnie uwydatniła żadnej ze swoich właściwości.

Ale to jest teoretyczne rozumowanie. Mamy jednak pisane dowody i dokumenty na to, że zmiana w wymawianiu języka polskiego warstw oświeconych dokonała się pod wpływem ruszczyzny. Nie miałem czasu ani potrzeby przytaczania ich w uwagach o powstaniu listopadowem. Widzę jednak, że to jest pożyteczne. Był więc za Stanisława Augusta pierwszy poważny gramatyk polski, ks. Onufry Kopczyński. Opracowując pierwszą pragmatyczną gramatykę polską, miał za cel nauczenia poprawnego władania językiem. I tu jest pytanie, co ks. Kopczyński uważał za poprawność językową? Otóż nie tyle prawidła gramatyczne, wynikające z ducha polszczyzny, ile „polerowaną" i „dystyngowaną" wymowę. Naukowo wydał walkę na śmierć i życie pochylonym samogłoskom, jako „gminnym" i prostackim. Dialekt warszawski, krakowski i poznański uznał za skażony, bo w nich były chłopskie przegłosy. A więc, wszystkie dialekty rdzennie polskie, potępił i odrzucił. Zaczął zatem szukać ludowego wzoru dla języka literackiego i znalazł go — we Lwowie. Trzeba czytać w jego rozprawie zachwyty nad „gustem", polerownością dialektu lwowskiego. Tam bowiem nie przegłaszają „po chłopsku" *á* ani *ó*. *A* wymawia się jak w ruskiem, zawsze *a*, *ó* zaś jako *u* (nawet *kuń* zamiast *koń*). Nie raziły go błędy gramatyczne, jak „trzydzieści pięć krajcary", zamiast „krajcarów", bo on rozpoczął walkę z chamskiemi, ale rdzennie polskiemi, pochyleniami (*e* pochylone zatrzymał). A była to walka ze rdzenną polszczyzną na korzyść zruszczonych nałogów wymawiania. Od czasów ks. Kopczyńskiego datuje się obowiązująca do dziś zasada, że początków języka literackiego należy szukać na ziemiach ruskich („wschodnio-polskich"), albo też na wąskim pasie nad Sanem, przez Chełmszczyznę i Podlasie t. j. tam, gdzie Polacy stykają się z Rusinami. Postawiono tę za zasadę z obrzydzenia do mazurowania, zapominając, że Śląsk i Wielkopolska nie mazurują. Ale o tej zasadzie Kochanowskiemu nawet się nie śniło.

W ten sposób stan faktyczny zmiany języka literackiego pod wpływem ruszczyzny, stan wytworzony już w XVII wieku i trwający do dnia dzisiejszego, uzyskał podstawy naukowe. Za ks. Kopczyńskim wszyscy gramatycy każą nam szukać źródeł języka literackiego na pograniczu między Polakami i Rusinami, z wyraźnem jednak zastrzeżeniem, że należy z języka ludu polskiego w tych stronach usunąć przegłaszanie *a* i *ó* (*é* już zarzucono), ale nie dodają przyczyny tego zastrzeżenia, któraby musiała brzmieć: ponieważ ruszczyzna nie zna przegłaszania.

I ja tę przyczynę miałem odwagę wyraźnie wypowiedzieć. *Inde irae.*

JAN ZAMORSKI

[1]) Ob. nr. 6 „Myśli Narodowej". Omawiane tutaj artykuły, były drukowane w „Myśli Narodowej" z roku 1930: p. Hłaski w nr. 50, p. Machalskiego w nr. 53. Artykułem niniejszym dyskusję zamykamy. Red.

OFENSYWA

NAPOLEONITIS DORSALIS

TŁUMACZENIE swoje książki Marcelle Duponta o generale Lassallu poprzedził pułkownik czy też generał Wieniawa-Długoszewski dłuższym wstępem. Niektórzy czytają podobno i sam tekst, Warszawka oczywiście rzuci się na sam wstęp, jako na dużą sensację w tym małym, coraz więcej parafjanizującym się światku. Przedmowa, nie można tego utajać, zostawia w czytelniku wrażenie raczej ujmujące. Gaskonada w starym, miłym, dawno przebrzmiałem stylu, jakiej się już dziś nie spotyka nigdzie Apoteoza „kolorowego ułana“, z którego jako ideału narodowego śmiał się już dość cierpkim uśmiechem J. Słowacki. Z niesłychanej pewności siebie i całkiem szczerej bufonady można wnioskować, że p. Długoszewski wierzy w powrót tego ideału w społeczeństwie, względnie w inteligencję, książki czytającą. Krótkie preludjum *sub specie aeternitatis pro domu sua*, zaczem tendencja zgoła wzruszająca przez to, że nasz *colonel de Birbante Rocca* jednak odczuwał przed zachodem, przed zmierzchem pewne skrupuły za cokolwiek lekki styl swej powiedzmy sobie „idywidualności“ i nie czekając i nie ufając, że kiedyś doczeka się biografa-apologety, sam zdecydował się wyekskuzować przed spółczesnością i potomnością. Mógł wziąć jako prototyp słynnego Ochockiego z czasów W. K. Konstantego („Ej Ochocki nieszumiej“! krzyczał do niego W. Książe, — wołał wybrać Francuza, „najświetniejszego kawalerzystę świata“ (?) I to mu się chwali. Analogja między bohaterami udaje się *in puncto* maksymalnej konsumpcji alkoholu, natomiast chroma cokolwiek w tem, że w dziedzinie wojowniczych wyczynów i przebojów widownią Lassalla była cała Europa z przyległościami, a zabójcze Don-Jouanstwo francuskiego *coqueluche des dames* wyładowywało się przy najczarowniejszych *precieusach* konsulatu i cesarstwa, podczas gdy nasi zawodowi, renomowani i patentowani uwodziciele tej kategorji i tego światka, skazani są na niewielką grzedę, na której przeważnie rozkwitają „róże z Saronu“ i lilje z Libanu; Europa Napoleońska zwęża się tu niestety do rozmiarów „kawiarni Ziemiańskiej“ i jej okolic...

Z jakiej racji atoli można się czegoś serjo frapującego dopatrzeć i doszukać i w takiej bagateli, w takim raczej epizodzie z bulwarowej kroniki stołecznej, w takiem przygodnem apotezowaniu staromodnego bałagulstwa, zawadjactwa czy też poprostu dawnej rosyjskiej „szerokiej natury“? Otóż i w takiej błahostce tkwi jeden motyw poważny, a do myślenia dający. Z tego doboru bowiem Napoleońskiego generała (choćby całkiem drugo czy trzeciorzędnego) i z tej przedmowy miłej i romantycznym ferworem tchnącej, można już łatwo postawić djagnozę, jak to pewna grupa, którą ktoś dowcipnie nazwał „bohemą na koniach“ (to znaczy zawsze kawiarnianą cyganerją, ucharakteryzowaną na elitę rządzącą), jak tedy ta elita pośpiesznie zaimprowizowanych statystów, strategów, premjerów, ministrów, dyplomatów i t.d. głęboko, szczerze i nieuleczalnie uwierzyła w swój... bonapartyzm i Napoleonizm! No i jak jej z tem do twarzy, dobrze i wygodnie, myślowo także wygodnie. Tej iluzji i tego miražu już im nikt nie wyperswaduje. Ani tego neo-napoleonizmu nie uznaje reszta Europy, ani im się nie udaje narzucić takiego poglądu społeczeństwu. Ale że żyją i obcują ciągle tylko sami ze sobą, w narodzie coraz więcej izolowani, więc w to wierzą święcie, zaciekle, aktualnie omal że desperacko. Tam jest Napolion, to było Marengo, tamto była Jena, to jest książę d'Enghien, ten to Talleyrand, tamten Massena, ten Fouché, tamten Murat i basta.

I to jest u nich wiara całkiem serjo, niezależnie od dużego procentu karjerowiczostwa, rozpychania się, wilczego głodu złota, pieniędzy, kobiet, luksusu, znaczenia i upajania się władzą, ta wiara, ta maffijna czy stanowa *folie* jest u nich rzeczą poważną, rzetelną i niewstrząśniętą, dającą im pewne podstawy i atuty moralne.

I oto wobec tego nasuwa się tak dla nich jak i dla wszystkich bardzo poważny postulat ogółowego nastawienia się do Napoleonizmu i pogłębienia wiedzy czy wiary w myt Napoleoński.

W dzisiejszej Polsce, tam gdzie ten kult jest jeszcze, tam jest najpłytszy, embrjonalny, tradycyjno szablonowy, kult bez kultury. Tyle co dzisiejszy nowoczesny, sanatorski Polak wie o Napoleonizmie, to takie samo pojęcie miały konie kawaleryjskie w szwadronie generała Lassalla. Aż wstyd doprawdy, gdy się czyta i słucha. Zdaje się, że dzisiaj murzyni na San Domingo bardziej pogłębili swą wiedzę w tej dziedzinie. Zapewne, że jest to temat nieaktualny, ale kto zaręczy, że **n i e a k t u a l n y m n a d a l p o z o s t a n i e?** że nie przeżyjemy jeszcze r. 1812 i 1814?

Inteligencja polska na wulkan Bonapartyzmu patrzy nadal oczyma pradziadków przez okulary prof. Aszkenazego lub, ot tak, jak Or-ot w wierszykach lub chłopaki ze sztuby. Ci, co mają już swe państwo, uprawiają takie samo konwencjonalne bałwochwalstwo jak trzy generacje poprzednie w niewoli. A tymczasem byłaby już pora, kochani rodacy, poddać tę legendę skontrolowaniu, ściślej rewizji i przewartościowaniu wartości, aby po pierwsze naród się wywiedział jak kosztownym luksusem jest taka kometa (Francja straciła 15 departamentów, Sabaudję, lewy brzeg Renu, Belgję), dalej, po drugie, jak **h a m u j ą c o** i powstrzymująco wpłynął taki wszechświatowy fenomen międzynarodowy na właściwy **i m p e r j a l i s t y c z n y** rozwój Francji...

Jest sprawą nie cierpiącą odkładania, aby inteligencja polska zapoznała się z całemi pokładami wiedzy o Napoleonie, kolejno jeszcze nawet: Thiers, Comte, Taine, Ségur, Vandal, Sorel, Velschinger, Aulard, Fournier, Masson.

Ci co może wzięli do ręki, ostatnio dla podtrzymania kultu, efekciarskie rapsodje Mereżkowskiego lub Emila Ludwiga (Cohna) powinni sobie sprowadzić anti-ota strassburskiego profesora Pariseta.

Przedewszystkiem atoli możnaby przyswoić językowi polskiemu w swoim rodzaju arcydzieło, którem obecnie zaczytuje się elita zachodnio-eurpejska t. j. Niemca **W e r n e r a H a g e m a n n a** (z Hellerau) „Napoleona“...

Siedemset stronnic ale sam ekstrakt, kongenjalność pisarza i objektu. Olbrzymiość zjawiska po lekturze zostaje, ale ułomność i kalectwo wielkości, największej świata wielkości! zdemaskowane straszliwie i bezapelacyjnie, definitywnie. Akt oskarżenia wywleka wszystko, co z plebeja, parwenjusza, przybłędy, szczęściarza, kuglarza, kłamcy, eskamotera, potwarcy, karjerowicza, dorobkiewicza, snoba, egoisty, brutala, blagiera, cynika, efekciarza, gbura, impertynenta, pochlebcy, małostkowego, małodusznego kaprala, aktora, kabotyna, mimy, Tartuffa, Bramarbasa, Falstaffa...

A pomimo tych siedmiuset stron: *j'accuse*, **w i e l k o ś ć** zjawiska, czar mistyczny, suggestja wieczysta **z o s t a j e**. Po zamknięciu książki wyrywa się tylko westchnienie eklezjastyczne: jakimż karłem był w gruncie rzeczy ten z Wielkich największy!

Wielką konsolacją dla Polaka Nowoczesnego (często ręce załamującego) jest lektura książki Wernera Hagemanna, którą uważam za najtęższe dzieło o Napoleonizmie z pośród mnóstwem tomów dotychczas, w różnych latach, przezemnie nietylko przeczytanych ale przestudjowanych.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Zjeżdżamy szybko w dół. Metody brzeskie, jak utrzymywała „sanacja“, były bardzo mądrze przemyślane, bo zaimponowały tłumowi. Tym nawet efektem wyjaśniono zwycięstwo wyborcze „sanacji“. Zwłaszcza na przedmieściach znalazł ten styl uznanie, bo nie wśród ludu. Ale jak widać z polemiki ks. Janusza Radziwiłła z p. Żółtowską-Dąbrowską, metody te podobały się bardzo i arystokracji. Ks. Radziwiłł już mówi językiem piosenek żołnierskich. Polemikę swą kończy zwrotem, popularnym na Powiślu: „Nie trzeba nam od was uznania“. Dobrze jeszcze, że urwał na kropkach, bo dalej są słowa w druku niemożliwe. Ale to nieprawda, że p Radziwiłł nie potrzebuje uznania, boć żebrze o nie, gdy pisze o konserwatystach, że pełnią „żmudną, nieraz ciężką, narazie może mało efektowną rolę“ w Bloku. Zapewne służba tak poniżająca jest ciężka i nieefektowna, bo ani współczucia, ani uznania obudzić nie może.

*

„KAP“ ogłasza, że w Polsce utworzono nową djecezję wschodnio-słowiańskiego obrządku na kresach białoruskich. Została już uznana nominacja na to stanowisko redemptorysty Czarneckiego, ukraińca, kandydata metropolity Szeptyckiego. Drogo nas kosztuje „pacyfikacja“!

*

W pewnem towarzystwie pytano p. Zaleskiego, czy smaczne było piwo, które pił w Genewie.

— Mogę panu to jedno powiedzieć, — odrzekł dyplomatycznie — że wolałbym madерę.

*

Czy może być coś bardziej imponującego siłą, jak polityka słonia w składzie porcelany!

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 612-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Tel. 619-57. Zielna 47. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.